

# Dekada Literacka

Kraków

20—26 IV 1991 r.

Tygodnik

Nr 20

## ...gdyby się żyło w Polsce

Z Florianem Śmieją — polskim poetą, tłumaczem, profesorem Uniwersytetu Western Ontario w Kanadzie — rozmawia Krzysztof Lisowski



● Proszę powiedzieć, jak to się stało, że młody człowiek rodem ze śląskich Końcyc, znalazł się w Anglii, studiował na tamtejszych uczelniach, a potem, opuściwszy Londyn, stał się znanym kanadyjskim iberystą, profesorem Uniwersytetu Western Ontario, w kanadyjskim Londynie. Skąd ta rozległość Pańskich zainteresowań (twórczość własna, przekłady, esyistyka, praca naukowa)?!

— Droga do Kanady wiodła m. in. przez Meklemburgię, gdzie w 1940 jako niewyrośnięty czternastolatek obsadziłem kartoflami dwudziestomorgowe pole, później z ukrycia w Belgii witałem czolgi 1 Polskiej Dywizji Pancerniej i wnet potem wylądowałem w Anglii w Centrum Wyszkolenia Broni Pancerniej. W Szkocji zrobiłem małą maturę i ukończyłem liceum humanistyczne. Z kursu dla rybaków dalekomorskich w Aberdeen dostałem się na studia. I tak w 1947 roku zdawszy mundur zostałem studentem Narodowego Uniwersytetu Irlandii w uroczym mieście Cork. Poznałem tam język hiszpański, który zawoocował na dobrym podło-

zu łaciny. Studia hispanistyczne kontynuowałem w Anglii, gdzie na londyńskim King's College uzyskałem doktorat w 1963. Zatrudniony w 1950 jako lektor języka polskiego u dr Jerzego Pietrkiewicza na School of Slavonic and East European Languages zacząłem uczyć hiszpańskiego na London School of Economics, by po sześciu latach przenieść się na uniwersytet w Nottingham. W 1969 zostałem zaproszony do Kanady na University of Western Ontario i tutaj pracuję w Instytucie Języków Nowożytnych jako kierownik Zakładu Języka i Kultury Hiszpańskiej i Włoskiej.

Praca pedagogiczna i naukowa na obczyźnie bardzo absorbuje, dlatego tylko na jej marginesie i z jej uszczerbkiem mogłem uprawiać własną twórczość. Stąd różnorodność i dorywczość mojego pisarstwa. Amatorskość różnych przedsięwzięć brała się m. in. z tego, że rzadko robiłem coś na zamówienie. Dlatego też niejednokrotnie dublowałem nieświadomie kogoś innego i dawałem się ubiec innym. W rzeczy samej więc pisałem sobie a muzom. Dziś z perspektywy lat widzę, że nie było to zbyt aktywnizujące. Pamiętam zresztą, że pisanie na emigracji nie przynosiło dochodu: z pióra mogły wyżyć co najwyżej wyjątkowe jednostki. Zawód literata, a tym bardziej poety, nie istniał. Pisarz zazwyczaj pisał bez żadnego wynagrodzenia, nieraz bez odbiorcy i rzadko na swojej drodze spotykał krytyka. I o tym trzeba pamiętać, kiedy mówi się o literaturze emigracyjnej, na której temat krąży różne legendy, zwłaszcza zaś o zasadniczym jej zrebie stworzonym przez emigrantów wojennych, przez ludzi, o których z całym przekonaniem

możemy powiedzieć, że ich świadomość kształtowała byt, w odróżnieniu od późniejszych przybyszów, którzy szukali przede wszystkim poprawy bytu.

● Znajoma Polka przybyła niedawno z Londynu powiedziała mi, że chodząc po krakowskich księgarniach nie zauważyła prawie żadnych książek poetyckich. Co Pan sądzi o obecnej sytuacji literatury w Polsce?

— Szczodre wydawanie literatury pięknej a w tym poezji, jakie miało miejsce w PRL było miłą anomalią. W krajach zachodnich o normalnych obiegach literackich wydawanie dzieł literatury reguluje popyt czytelnika, polityka wydawnictw i hojność prywatnych mecenasów. W rezultacie otrzymujemy ostrą selekcję (pomijam wydawanie prywatne na własny koszt). W tej chwili w Polsce rynek opanowały publikacje dochodowe, do których poezja się nie zalicza. Poezja wróci znowu na półki, choć już nie tak obficie, jak to było jeszcze niedawno temu, bo tzw. urynkowanie wyeliminuje lwią część książek nie fundowanych.

Należy się poważnie obawiać, że przesadna komercjalizacja rynku wydawniczego, która się zaczęła, zniszczy wiele dobrych praktyk poprzedniego systemu, który mimo swoich wadliwości (w tym cenzury) zatrudniał fachowców, a oni zadbali o wysoki poziom wielu publikacji. Zapatrzenie we wzory zachodnie, szczególnie amerykańskie, wyrządza poważne szkody nie tylko w sferze słowa drukowanego ale także w sferach wizualnych, straci polskie kino i pogorszy się telewizja. A wszystko to po to, by na sie-

(CIĄG DALSZY NA STR. 4)

Droży Czytelnicy!

Od 15 maja br. „Dekada Literacka” zacznie ukazywać się jako samodzielny dwutygodnik kulturalny — a nie jak dotychczas, w formie sobotniego dodatku do „Gazety Krakowskiej”. Będzie mieć też zasięg ogólnopolski.

„Dekadę Literacką”, redagowaną przez ten sam zespół ze Stowarzyszenia Pisarzy Polskich można będzie nabyć zarówno w kioskach „Ruchu”, w wybranych księgarniach, jak i w prenumeracie — w Krakowie, Nowym Sączu, Tarnowie, Zakopanem, a także w dużych miastach Polski, z Warszawą łącznie.

Szukajcie „Dekady” zawsze na początku i w połowie miesiąca. Ten sam format i tytuł, powiększona objętość o 4 strony (razem 12) — i cena 1500 zł.

Józef Baran

JÓZEF BARAN — znany krakowski poeta, redaktor „Wieści”. Autor wielu zbiorów poezji, laudy Fundacji Kościelskich.

## Ballada. Przed Pierwszą Komunią

dziś piątek i dom się popjutrze zaroi  
gdy poprowadzą małą przed Ołtarz anioły

gospodarz przywiązuje cię do drzewa  
ach naiwne ono niczego się nie spodziewa

potem dwa razy trzasnął obuszkiem  
i już cię leży na trawie

jeszcze sprawnie poderżnąć mu gardło  
żeby mogło się wykrwawić

i już półcie ćwiartują na stole  
rozprawiają o żeberkach i rosole

gospodarzowi kotlet w głowie siedzi  
lecz dziś piątek a on był u spowiedzi

więc bezgrzesznie przetyka ślinkę  
i umywa ręce z krwi nad balią

dziewczynka przymierza białą sukienkę  
jutro pierwsi goście się pojawiają

Borzęcin, 1990

## Rewolucja jest zazwyczaj najgorszym rozwiązaniem

Josef Škvorecký

JOSEF ŠKVORECKÝ — znany czeski pisarz emigracyjny, autor m. in. słynnej powieści pt. „Tchórze”. Wydawca, właściciel oficyny „Sixty Eight Publishers” w Toronto.

Szczerze mówiąc, ilekroć przychodzi mi ustosunkować się do pojęcia „rewolucja” wobec ludzi, którzy nigdy jej nie przeżyli, ogarnia mnie poczucie bezsilności. Ludzie tacy podobni są — proszę mi wybaczyć banalne porównanie — do dziecka, które dopóty nie wierzy, że płomień świecy może sprawić ból, dopóki się nie oparzy. Ja, moje pokolenie, mój naród doświadczyliśmy (nie z własnej woli) dwóch rewolucji, socjalistycznych zresztą: pierwsza była w wersji prawicowej, druga lewicowej. Obie razem wzięte wyleczyły mnie z krótkowzroczności.

Gdy miałem czternaście lat, mówiono nam w szkole, że

### jedyna droga...

do sprawiedliwego i szczęśliwego społeczeństwa prowadzi poprzez rewolucję socjalistyczną. I dalej: kapitalizm to zło, liberalizm jest błagą, demokracja nonsensem, parlamentaryzm zaś czystą dekadencją. Uczył nas tego ówczesny minister szkolnictwa i oświaty, aktualnie nieboszczyk, pan Emanuel Moravec, który nieco później posłał swego syna do boju w imię europejskiego socjalizmu w szeregach dywizji

SS „Herman Göring”. Po wojnie syn został powieszony, a pan minister — pozwolił tu sobie na właściwy dla rewolucji zwrot językowy — z pomocą pistoletu zlikwidował samego siebie.

Kiedy liczyłem sobie lat dwadzieścia jeden, wpajano nam na Uniwersytecie Karola, że jedyną drogą do sprawiedliwego i szczęśliwego społeczeństwa wiedzie poprzez rewolucję socjalistyczną. Kapitalizm to zło, liberalizm jest błagą, demokracja nonsensem, parlamentaryzm zaś czystą dekadencją. Uczył nas tego ówczesny profesor filozofii, aktualnie nieboszczyk, pan Arnošt Kolman, który nieco później wydał swą córkę, na poły Rosjankę, za mąż za czeskiego komunistę, ten zaś w swoim czasie poparł ekipę Alexandra Dubčeka, a w końcu wyemigrował do Szwecji. Profesor Kolman, jeden z ostatnich „starych” bolszewików, uczestnik wydarzeń 1917 r. oraz osobisty przyjaciel Lenina, podążył śladem zięcia. Zmarł w Szwecji w roku 1980. Przed śmiercią odesłał Breżniewowi legitymację partyjną wraz z listem otwartym, w którym stwierdził, że Związek Radziecki zdradził rewolucję socjalistyczną.

W roku 1981 rozmaite osoby cierpiące na kompleks Adlera i Ranka zapewniali mnie, że jedyną drogą do sprawiedliwego i szczęśliwego społeczeń-

stwa prowadzi poprzez rewolucję socjalistyczną. Kapitalizm to zło, liberalizm jest błagą, demokracja nonsensem, parlamentaryzm zaś czystą dekadencją. Budzi to we mnie dialektyczne podejrzenie, że kapitalizm jest zapewne czymś dobrym, liberalizmowi trzeba oddać słuszną, demokracja jest chyba najbliższą prawdą, a parlamentaryzm to czeligidny dżentelmen, z którego emanuje mądrość wieku dojrzałego.

### Naszym wiekiem wstrząsnęło sporo różnych rewolucji

w większości komunistycznych, ale były też faszystowskie, nacjonalistyczne i religijne. Wszystkie doskonale scharakteryzował Joseph Conrad w powieści *W oczach Zachodu* (*Under Western Eyes*, 1911): „...podczas prawdziwej rewolucji — nie w wypadku zwyczajnej zmiany rządów czy też reformy konstytucyjnej — podczas prawdziwej rewolucji na czołowych miejscach nie staną najlepsi. Najpierw kierownictwo gwałtownej rewolucji wpadnie w ręce zaślepionych fanatyków i tyrańskich obłudników. Później do żłobu dostaną się zarozumiali intelektualni benkruci epoki. To są herszci i pomyślnicy.

(CIĄG DALSZY NA STR. 5)

# Same oczywistości

Małgorzata Ruda

**A**by wystawić *Cyda*, trzeba koniecznie wierzyć, że miłość żywi się szlachetnością i honorem, że potrzebne jest jej poczucie wartości i szacunku, że bez podziwu i wzniosłości umiera. Kto dziś wierzy w te klasyczne historie? Dla Saint-Beuve'a w dwa wieki po premierze *Cyda* wciąż był jeszcze testem na „młodzieńczą pasję i powołanie miłości”, żywiołowość i dążenie do harmonii ze światem. Kto dziś dąży do takiego przymierza z życiem, które nie oznacza kompromisu i uległości?

Współczesny reżyser nie bardzo wierzy temu „arcydziełu miłości”, raczej przewidując głowi się nad tym, jak młodą widownię do rozumienia i odczuwania *Cyda* przymusić. I rzecz ujmując naturalnie w cudzołóstw teatralności. Scena przedstawia scenę — nagą, pustą, szarawą. Surowości nie mając dwa toporne krzesła. Za to centralne wejście odsłania czasem jakieś mroczne wnętrza królewskiej komnaty-gabinetu. Poznani się w niej długi czarna drapeń przykryty stół, pełen przedmiotów-emblematów: globus, hełm i książka wyznaczają terytorium świeckich aspiracji: krucyfiks, czaszka i kielich przypominają o marności świata. Jak na obrazach Valdes Leala. „Czarna” martwa natura niepokoi i zapowiada śmierć. Wnętrze teatru

skrywa zatem przestrzeń podwójną — ubogą i barokową. Ten kontrast rządzący będzie całym przedstawieniem — gestem prywatnym, impulsywnym i stylizowanym, strojem ceremonialnym i dezabilem, głosem naturalnym i melodeklamacją. Trudno dociec, czy teatr analizuje sprzeczności niezrozumiałej epoki, czy własne. Nie wie — uwieść łatwiej prostotą, czy wystrojem?

**R**eżyser nie szukał chyba dramatu w nierozdzielnym związku honoru i miłości, raczej w konflikcie miłości ze starością. Honor jest w tym spektaklu postawą narzuconą z góry, presją jaką pokolenie sklerotycznych, zimnych Ojców wywiera na Dzieci, każąc im realizować świat swoich wartości. Chłopięcy Rodrygo T. WACHOWICZ i dziecięca Szimena M. KOCHAN są tylko biednymi dziećmi oplakującymi swoją miłość „klasycznie romantycznymi”. To wola rodziców każe im ponad namietnością realizować zemstę, której tak naprawdę nie rozumieją. Tylko ją grają, bo tak nakazuje posłuszeństwo i „układ”.

Rodrygo nie jest ani dobrym synem, ani sławnym bohaterem. „Com był winien, spełniłem” — mówi z wyraźną intencją, aby „Stary” przestał już truć te swoje morały zalatujące z daleka mową trawą. „Przeegrany”, tylko dlatego godzi się walczyć z Ma-

urami, aby umrzeć. O wojnie mówi mały i bez zapalu (liczne skreślenia reżysera). Słychać tylko ojcowskie frazesy o ojczyźnie, przywoływane po to, aby walce o odzyskanie pozycji na dworze nadać sankcję ideologiczną. Dla młodych liczy się tylko uczucie; Szimena Małgorzaty Kochan po prostu cieszy się miłością, zaledwie przeczuwa nieszczęście. Smakując je, rozpoznaje tęsknotę i pożądanie, bezradna wobec świata, umie wykradać rozpaczy chwile czułości. Trochę inaczej interpretuje postać AGATA JAKUBIK, druga Szimena, na pewno bardziej dorosła — dramatyzuje los, rozpoznaje w nim to, co nieublagane. Skłonniejsza odnajdywać za sługę w poświęceniu i cierpieniu, jednocześnie bardziej teatralna, raczej inscenizuje niż przeżywa ból: wzywa się w scenach dworskich.

**W**obec autentyczności i prostoty Szimeny M. KOCHAN — Infantka Z. ZAJACÓWNA stosuje cały arsenał małych grymasów, kobiecych chwytów. W duecie z Szimena. A. Jakubik te sztuczki nie udają się; na wzniosłość (choćby udaną), musi odpowiedzieć przynajmniej patosem (choćby imitowanym), dzięki czemu postać — rola Infantki najbardziej chyba kontrowersyjnie ustawiona w spektaklu — staje się czytelniejsza i szlachetniejsza.

**Bo oczywiście Infantka od pierwszej sceny umiera z miłości, co, jak wiadomo, najekspresywniej można wyrazić tarzając się po scenie. Królowa wróży sobie miłość z kart, maskuje się i demaskuje jak subretka — wszystko w imię uwspółcześnienia swego dramatu. Infantka, Z. Zajacówna mówiąc „no życie sięgnę nowe: we szczęściu ludu mego” kłamie nieudolnie i nie budzi współczucia. Prostuje się, nagle sztywnieje, potem znowu omdlewa na ramieniu służki. Niczego nie ukrywa. Nie umie i nie chce. Wydaje się jej, że dotyka życia, gdy odgrywa łązawą melodramę z wyższych sfer.**

**Najtrudniej zrozumieć finał — oto dwór tańczy, gesty sływne, wysłuchane, a ona się pod wpływem jakiegoś nierozeczywistego wichru, który zmiata kukły ze sceny, odlatując raz jeszcze czarną komnatę. Tylko teraz, na stole wśród martwych przedmiotów, atrybutów sławy i przemijania, związ ciała samobójcy, nieszczęśliwie zakochanego w Szimenie, pokonanego w pojedynku przez Rodryga, don Sansza. Prawdziwy dramat namietności i honoru rozgrywał się poza dramatem Corneille'a, poza jego pozą, nie na scenie, a w jej kulisach? To pewnie efektowne i wguście Akademii Francuskiej karcące Corneille'a za estetyczną niesubordynację i brak tragicznego rozwiązania. Szkoda tylko, że absolutnie nie przygotowane sceniczenie. Jeśli nie liczyć powłóczystych spojrzeń Sansza i jego ruchowej nadpobudliwości. Zaiste świat klasyczny trudny jest w swej prostocie do zrozumienia i źle znosi efekty dla efektów. S**wietne plastycznie kostiumy ANNY SEKULY przywołują i współczesność, i Velazqueza, i na-

**de wszystko „syntetycznie” — Hiszpanię średniowieczno-barokową, kraj pogranicza, ścierania się kultur. Dworacy są rycerskami chrześcijańskimi, którzy rozmakowali się w mauretańskim stylu. Ich stroje dworskie i egzotyczne same w sobie są teatrem, piękne — zastępują aktora. Król ze skrzydłami płaszcza — sztandaru, zagarniający i niemal duszący nimi niepokornego poddanego. Zajęty baletem swoich szat, wygłasza rozkazy, których słuchać ani rozumieć nie trzeba; wystarczy — widzieć. Podobnie w scenie kłótni Don Gomeza z Don Diegiem: „drzewce herbowe” ważniejsze są niż ludzie. Pokazują konflikt nie uwiarygodniony przez aktorów, wygrzywających z niego tylko jeden ton — starczej demagogii. Znaki teatralne w tym przedstawieniu często wzajemnie sobie przeczą. Infantka i Szimena w scenach początkowych pokazywane prywatnie, rozebrane z szat do bielizny prawdopodobnie po to, by poza strojem — maską ukazać twarz prawdziwą, wykonując równocześnie konwencjonalne, stylizowane gesty i pas z hiszpańskiego tańca. Nienaturalna stylizacja pożera naturalność. Bardzo to barokowe i bardzo niekonsekwentne teatralnie. Cały wysiłek emocjonalny aktorów więźnie w stylizacji. Doprawdy, szkoda ich; tak bardzo chcą być żywi błędząc w meandrach inscenizacji.**

**PIERRE CORNEILLE — STANISŁAW WYSPIAŃSKI: Cyd. Teatr Ludowy w Krakowie. Reż. W. Nurkowski. Scenografia: A. Sekuła, Muzyka: A. Zarycki, Ruch scen.: J. Tomasiak. Premiera: 7-8 kwietnia 1991.**

## Co nowego w prasie?

**M**iesięcznik WIEŻ niemal cały ostatni (2) numer poświęcił problematyce białoruskiej. Pierwszy z cyklu numerów monograficznych pragniemy poświęcić Białorusinom. Narodowi, którego droga do suwerenności i wolności jest szczególnie trudna, także z winy Polaków. Do narastających latami żalów i pretensji współczesność wciąż dodaje nowe. (...) chcielibyśmy zadedykować ten numer działaczom i sympatykom Białoruskiego Frontu Narodowego, ludziom, którzy mimo zagrożeń i przeciwności tak wiele czynią dla swej ojczyzny... czytamy w odrędkacyjnej dedykacji. Z kilkunastu artykułów i rozmów dowiadujemy się m. in.: o trudnościach językowych w życiu religijnym Białorusi (Cerkiew prawosławna używa języka rosyjskiego lub starocerkiewnego, Kościół katolicki — polskiego,

język białoruski dopuszczany jest niekiedy w nabożeństwach katolickich, ale w stopniu nie satysfakcjonującym wiernych). O stosunku Białorusinów do Polaków (ok. 5 proc. ogółu ludności), który jest dziś przeważnie niechętny, zwłaszcza w środowiskach opozycyjnych — pretensje dotyczą jeszcze dawnej polonizacji i dominacji, spraw wyznaniowych i pewnych przywilejów — np. możliwości wysyłania dzieci na kolonie do Polski, wyjazdu na studia itp. I oczywiście wiele o rozwoju niezależnego ruchu narodowego na Białorusi, o tamtejszych ludziach i samizdatach. Uwagę zwracają również dwa eseje poświęcone pisarzom polskim z tamtych ziem: Florianowi Czarnyszewiczowi i Józefowi Mackiewiczowi.

**W TYGODNIKU POWSZECHNYM (nr 15) duży, wyczerpujący artykuł Bogdana**

**Krzyczki o Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Jeszcze przed paru laty fakt taki spowodowałby niewątpliwie likwidację pisma i ciężkie wyroki dla kierownictwa redakcji za szpiegostwo, działalność dywersyjną itd. Dobrze czasem uświadomić sobie takie paradoksy, gdyż ukazują one szybkość i rozmiar działania się historii. Artykuł omawia szczegółowo genezę, strukturę, pracę i finanse rozgłośni, najciekawsze są jednak te informacje, które wiążą się z rychłym (może już od maja) rozpoczęciem nadawania programu RWE przez krajowe nadajniki na falach średnich. Według ostatnich badań, audycji z Monachium słuchało 14 proc. Polaków (Głosu Ameryki 11 proc., BBC — 10 proc.). Kierownictwo rozgłośni sądzi, że procent ten będzie wzrastać, gdyż słuchacze zechcą szukać programu całkowicie niezależnego politycznie (a taki właśnie obiecuje RWE) w odróżnieniu od krajowych mass mediów, które wszystkie postzegane są jako związane z jakąś orientacją polityczną. A nikt nie może zaprzeczyć, że w dobie swoistej dezorientacji społeczeństwa i zmęczenia partyjnymi sporami istnieje zapotrzebowanie na niezależne i ponadpartyjne właśnie media. Wolna Europa ma wszelkie szanse, by to wykorzystać z zyskiem dla siebie i słuchacza. Monachijski dystans sprzyjać może wyważaniu ocen. Ponadto trudniej wywierać nacisk na radio nadające z zagranicy niż na mające siedzibę w Warszawie. RWE zamierza także wykorzystać istniejący w kraju glód na wiedzę o funkcjonowaniu podstawowych instytucji demokratycznych, czy o elementarnych zasadach obowiązujących na wolnym rynku. Przedstawi historię prywatyzacji w Wielkiej Brytanii i kłopotów z nią związanych. Opisać systemy opieki społecznej na Zachodzie. Pokazać jak rozwiązano takie czy inne problemy polityczne i gospodarcze itd.**

### „Nasz wiek”

**WIECZORY LITERACKIE — 22, 23 i 24 kwietnia 1991 r. organizowane przez Ośrodek Kultury Hutę im. T. Sendzimira — Stowarzyszenie Pisarzy Polskich — Oddział w Krakowie i DEKADĘ LITERACKĄ.**

**Program**  
 ● 22 IV godz. 18.00 DOŚWIADCZENIA LAGROWE W PROZIE DOKUMENTALNEJ I ARTYSTYCZNEJ POLAKÓW: Józefa Czapskiego („Na nieludzkiej ziemi”), Gustawa Herlinga-Grudzińskiego („Inny świat”), Wacława Grubińskiego („Między młotem a sierpem”), Beaty Obercowskiej („Z domu niewoli”), Aleksandra Wata („Mój wiek”) oraz Mariana Czuchnowskiego („Tyfus — teraz słowiki”) i Hermirii Naglerowej („Kazachstańskie noce”).  
 Mówią: dr Aleksander Fiut i dr Wojciech Ligeza z UJ.  
 ● 23 IV godz. 18.00 WIECZÓR AUTORSKI KRAKOWSKICH POETÓW Udział biorą: Leszek Elektorowicz, Julian Kornhauser, Krzysztof Lisowski, Beata Szymańska, Teresa Truszkowska, Elżbieta Zechenter-Splawińska.  
 Prowadzi: dr Marta Wyka.  
 ● 24 IV godz. 18.00 WIECZÓR MŁODYCH POETÓW przy STOWARZYSZENIU PISARZY POLSKICH. Wiersze i piosenka literacka. Impreza współorganizowana z Dworkiem Białoprądnickim.  
 Prowadzi: Robert Adameczak.  
 Wszystkie spotkania odbywają się w Ośrodku Kultury Hutę im. T. Sendzimira Kraków Nowa Huta, ul. Majakowskiego 2 (os. Górali). W sąsiedztwie Teatru Ludowego. Dojazd z centrum Krakowa: autobus 139, posp. „B”, tramwaj nr 5

### Niepolitycznie o polityce

**W** 1918 roku legalną władzę w Krakowie pełnił austriacki komendant miasta gen. hr. Benigny. Dążący wtedy do niepodległości Polacy rzeczywiście łamali ustawy, naruszali praworządność, słowem przygotowywali bezwzględnie zamach stanu. Dzisiaj na pytanie, kto zwyciężył, skoro Sejm odrzucił propozycję wyborów w maju, jeden z posłów odpowiada: „praworządne państwo”. Warto jednak wiedzieć, jak rozumie praworządność. Czy da się bowiem „legalnie” wypłatać z totalitarnej nielegalności? Czy skrupulatnie respektując każdy paragraf PRL-owskiego ustawodawstwa zdołamy kiedykolwiek uwolnić się z postkomunistycznej pajęczyny? Dlatego właśnie, dotąd nie mamy Sejmu godnego tej nazwy. To jest nie mamy suwerena, czyli mówiąc prościej zgromadzenia narodowego pochodzącego z wolnych wyborów i tylko dzięki wyborczemu mandatu (a nie zakulisowemu umowom) uprawnionego do pełnienia najwyższej władzy, a więc do stanowienia PRAWA w suwerennym państwie.  
 Bronią formalnego „legalizmu” wielu upiera się, by nie dostrzec, iż wciąż jeszcze nie został w Polsce wypełniony do końca ten nieruszy warunek wszelkiej legalności. Słusznie tedy trzeba zapytać, czy w świetle podstawowego PRAWA obywateli do wybrania wolnego parlamentu obecna realizacja tego PRAWA hamująca, Sejm jest jeszcze — jeśli był kiedykolwiek — legalny?

Jan Prokop

### Nowość Wydawnictwa „Znak”

Rudolf Fischer-Wollpert  
**LEKSYKON PAPIEŻY**

W części I książka zawiera zwięzłe informacje o życiu i działalności papieży (i antypapieży) w porządku chronologicznym; w części II — hasła rzeczowe związane z dziejami papieżstwa; w części III — alfabetyczny spis hasel. Uzupełnienia dotyczące dziejów Kościoła w Polsce opracował o. Zygmunt Mazur OP. Liczne ilustracje, kolorowe herby wszystkich papieży.

Str. 464, 39 fot., opr. twarda, cena detal. 38 000 zł.

# INŻYNIER T.

Barbara Czałczyńska

**P**ociąg stał na boczniczy kolejowej od wielu miesięcy. Długi ciąg wagonów przykrytych szaro-brązowym brezentem, spod którego błyskiwały tu i ówdzie części maszyn. Jedyne kryte wagonem mieszkalnym. Ponad jego dachem kołysała się cieniutka smużka dymu. Żołnierze w czapkach z nasznikami kręcili się wzdłuż torów, rozpalali przy wagonach ogniska, na których coś gotowali w usmolonych sadzą kociołkach a wieczorami śpiewali rozlewnie, przeciągając każde słowo, smętne pieśni.

Inżynier T. podjeżdżał do stacji na rowerze, przystawał na drodze prowadzącej do boczniczy i wsparty o swój rower stał przez długie godziny spoglądając na pociąg. Raz usiłował podejść do wagonów, ale wtedy żołnierze, którzy zdawali się nie zwracać na niego ut, agi poderwali się ze swoich miejsc, a jeden z nich zaczął wymachiwać przed jego nosem pepeszą i mówił coś, z czego do uszu inżyniera docierało tylko jedno słowo „niezła”. Inżynier T. nie usiłował więc już zbliżyć się do wagonów, stał nieruchomy, podobny raczej do ulepionej z gliny figury przydrożnej niż do żywego człowieka z oczami utkwionymi w wystającą spod brezentu maszynę. Po jakimś czasie tory przy kołach zaczęły pokrywać się rdzą, a pod lorami pojawiły się mieniające się tęczowymi smugami kałuże. Inżynier T. wiedział, że były to ściekające z maszyn smar i patrzac na tęczowe odbłaski w kałużach wspominał wynalezione z triumfem w zwalchach gruzów puszkę ze smarami i bańki z naftą, którą tak oszczędzał w domu, byle tylko starczyło do polerowania i czyszczenia maszyn. I wspominał też ten wspaniały dzień, kiedy to spod pyłu, brudu ukazywały się lśniąca stala maszyn.

Inżynier T. nie miał skłonności do bohaterstwa. Wszelki fanatyzm był mu obcy. Był praktycznym człowiekiem pragnącym urządzić sobie normalne życie. Podczas okupacji nie wdawał się w żadne konspiracje i uni-

kał niebezpiecznych przedsięwzięć. Miał na utrzymaniu starych rodziców i nie miał zamiaru narażać swojego życia. Zajmował się więc przeróżnymi rzeczami: strugał podeszwy do drewniaków, produkował pastę do butów, zsywał spodnie, a nawet jakiś czas robił kapelusze. Jedyną jego rozrywką w tych czasach było studiowanie książek z zakresu mechaniki, zawodu, którego nie zdążył wykonywać, gdyż zaledwie ukończył studia, zaczęła się wojna. Skupował niemieckie fachowe książki i marzył o chwili, kiedy nareszcie będzie mógł pracować w swoim zawodzie. Dlatego też, kiedy po skończonej wojnie „na zachód” ruszył tłum szabrowników inżynier T. ruszył za nimi, ale nie po to, żeby rabować niemiecki dobytek, ale żeby nareszcie znaleźć miejsce do pracy. Fabryka łożysk tocznych, którą wynalazł po długich poszukiwaniach, wyglądała całkiem jak zbudowana według czytanych przez niego po nocach podręczników. Była ukryta w lesie, nie leżała przy szabrowniczym trakcie i nikt tam jeszcze nie dotarł. A zresztą poszukiwacze drogocennych łupów niezbyt interesowały wielkie i ciężkie maszyny. Inżynier T. zdolał zorganizować ekipę takich samych jak on zapaleńców. Zamieszkali w opuszczonym domu, w którym zostało trochę niedających do wywiezienia mebli i odczoch zabrali się do pracy. Już jesienią zgłosili swoje znalezisko pełnomocnikowi do spraw ziem odzyskanych, a nawet otrzymali jakąś pomoc. Przydzielono im karabin i zezwolono na postawienie straży przed fabryką. Rozpoczęło się dla nich pracowite życie. Zmudne wyszukiwanie potrzebnych do uruchomienia fabryki części. Czyszczenie maszyn. Naprawa wyszczerbionych murów. Łatanie dachu. Wstawianie szyb. Wszystko wymagało długich poszukiwań. Dwie osoby uganiały się po całej Polsce w poszukiwaniu smarów, śrub, dachówek, papy, smoły, kabli i tysięcy innych niezbędnych przedmiotów. Kiedy więc udało się im ruszyć pierwsze maszyny cieszyli się jak mali chłopcy, którym udało się pierwszy raz w życiu

wyrwać na wagary. Fabryka została oficjalnie zarejestrowana, a inżynier T. za zgodą całej załogi został wyznaczony dyrektorem. Zdawało się, że już nie jest w stanie zmącić szczęścia. Ale oto któregoś dnia o świtanie do inżyniera T. przybiegł przerażony strażnik z wiadomością, że fabryka została otoczona przez ruskich żołnierzy, a jemu zabroniono wstępu na jej teren. Wszyscy pobiegli do fabryki i zastali teren otoczony przez żołnierzy, z którymi w żaden sposób nie można było porozumieć, a każde usiłowanie wejścia na teren fabryczny było kwitowane krótkim „nie!” połączonym z wymachiwaniem pepeszą. Inżynier T. widząc, że nie tu nie wskóra pojechał do Wrocławia, do urzędu do spraw ziem odzyskanych, gdzie powiedziano mu, że to pewno jakieś nieporozumienie i żeby czekał aż się sprawa wyjaśni. Kiedy wrócił z wnętrza fabryki dobiegał szcęk łomów, a na ciężarówce załadowywano już pierwsze maszyny. Inżynier T. pojechał więc do Warszawy do ministerstwa, gdzie nikt nie miał dla niego czasu, a potem zaczął biegać wszędzie, gdzie tylko się dało, przypominając sobie wszystkich możliwych znajomych zajmujących jakieś eksponowane stanowisko. Przyjmowano go niechętnie. Ktoś wspominał mu o jakichś reparacjach wojennych, co wydawało mu się całkiem absurdalne, aż wreszcie któryś ze znajomych poradził mu, żeby przestał się tą sprawą zajmować, bo może się to dla niego źle skończyć. Mówiąc to wymownym gestem przeciągnął ręką po szyi. Inżynier T. przypomniał sobie wtedy opowiadania o ludziach, którzy ginęli w tajemniczych okolicznościach, nigdy jednak nie przyszło mu na myśl, że to mogłoby dotyczyć też i jego osoby. Przestraszył się. Wrócił po paru dniach zrezygnowany i milczący. Wokół fabryki nie było już żołnierzy, po betonowych podłogach pustych hal fabrycznych głucho rozbrzmiewały jego kroki. Tu i ówdzie walały się kawałki kabli, drutów, jakieś śruby. Pod którąś ze ścian, obok wyrwanego ze ściany kabla siedział elektryk i płakał.

— Zeby przynajmniej sk-syny remontowały to jak należy. A tak nikt z tego nie będzie nic miał — bełkotał przez ły.

Inżynier T. odwrócił się do niego plecami, pochylił się i poszedł do pobliskiego lasu. Chodził przez parę godzin, a kiedy wrócił do domu dowiedział się, że maszyny są. Znalazły się. Wiozący je pociąg dojechał do najbliższej stacji i tam został zatrzymany. Inżynier T. poszedł tam z kolegą w nadziei, że uda im się coś wyjaśnić. Próbowali nawet na migi wytłumaczyć, że maszyny trzeba konserwować, bo inaczej zardzewieją i będą zdatne tylko na złom. Ale kiedy któryś z żołnierzy zaczął do nich celować z karabinu, odeszli nic nie wskórawszy. Inżynier T. jednak przyjeżdżał na swoim rowerze. Trzymał się co prawda w bezpiecznej odległości, ale wydawało się, że maszyny posiadają nad nim jakąś hipnotyzerską moc. A może miał jeszcze jakąś nadzieję, że maszyny wrócą na swoje miejsce? Zjawiał się na swoim posterunku punktualnie. Nie zważał na pogodę. Przyglądał się krzątaniu żołnierzy, słuchał ich pieśni. Może myślał, że odjadą któregoś dnia. Znikną jak zły sen. Inżynier T. przestał dbać o swoją osobę. Chodził brudny, nie ogolony, w wystrzępionych spodniach i wytartym płaszczu. Buty związywał kawałkami sznurków. Aż któregoś dnia na bocznicę wtoczyła się lokomotywa. Z wysiłkiem poruszyła przyrostymi do torów wagonami. Pociągnęła je ze zgrzytem i chrzęstem i przetoczyła na główny tor. Odjechała, żeby znów powrócić po paru dniach. Żołnierze powskakiwali na wagony. Pociąg ruszył powoli unosząc ze sobą maszyny, które w międzyczasie stały się kupą zardzewiałego żelastwa zdatnego tylko na złom. Jeden z żołnierzy wycelował z ruszającego pociągu w stojącą nieruchomo przy drodze postać. Bezwładne ciało inżyniera T. osunęło się do przydrożnego rowu.

# KARUZELA

Teresa Truszkowska

**W**ygodny fotel ciemności unosi nas daleko. Oprzeć głowę, zatonać w nim na czas nieograniczony. Zapomnieć o wszystkim. Okno otwiera się na odzyskany widok: śmiesznie mały ogród dzieciństwa z wysypanymi żwirem ścieżkami, przecinającymi się, okrążającymi pusty środek, może klomb szkarłatnych szalwii lub samotny krzew róży. Dalej studnia, a na krańcach widoczności ciemny żywopłot wypełniony szepem towarzyszek zabaw, które przykucnęły w gąszczu krzewów myśląc, że są tam dobrze ukryte i nikt ich nie odnajdzie.

Fotel ciemności kołysze się, krzesząc iskry. Noc obraca kalejdoskopem gwiazd. Mgła jest wszędzie. Oddziela od świata.

Tak jak wtedy na karuzeli. Wczesny wieczór jesienny. Zwykle o tej porze wesołe miasteczko rozbiłoby namioty na łące, na peryferiach miasta. Chodziliśmy tam odrobiwszy pospiesznie lekcje, a wracaliśmy późnym wieczorem, mimo iż rodzice gniewali się na nas.

Były tam diabelskie koła oraz różne karuzele: krążące w szalonym tempie, odrywające się od ziemi i nikiące we wczesnym jesiennym zmierzchu i te znacznie powolniejsze, dostarczające też nie byle jakich emocji. Rude, białe i kare konie o sztywnych grzywach i uniesionych wysoko kopytach dziarsko ruszały naprzód, pędząc coraz szybciej i szybciej, i wtedy nic już nie miało znaczenia. Wiatr świstał we włosach; obrazy świata migają przed oczyma, pęd poszerzał arenę otwartych oczu, odległość stawała się umowna. Czas zatrzymywał się lub ruszał w odwrotnym kierunku, kręcił się w koło, przecinanej tylko pojedynczymi błyskami.

**D**ziewczynki wciąż szepcą w listowiu żywopłotu. Człowiek o nie-wyraźnym obliczu zbliża się ścieżką ogrodową. Co mu powiem? Jest płaski, jakby wycięty z papieru. Nic, tylko ciemnoszara sylwetka na tle czerni nocy. Zimno obejmuje moje stopy i ręce, podpełza do serca. Cóż robię tutaj, w ciemnej izbie, leżąc na wznak ze złożonymi rękoma? Dwie świece płoną w wysokich kandelabrach u moich stóp. Skulona postać kłęczy i płacze. Lustro jest zasłonięte. Za szybami noc. Po pewnym, nieskończenie długim czasie widzę, że świece dogasają, a więc noc kończy się. Skulona postać drży, wstrząsana szlochem. Za oknem niezmienny pejzaż nocy, obejmujący cały świat, nakładający się na drzewa i ich tysiące czarnych teraz liści, na uciekające w popłochu ścieżki, na usta i powieki śpiących.

Karuzela rusza naprzód jeszcze raz. Przytulona do pnia drzewa patrzę na książkę wolno wspinając się po niebie. Próbuję odnaleźć tam góry i morza, o których mi opowiadano. Przywieram mocniej do grubego pnia, słysząc zbliżające się kroki. Ktoś mnie wola. Bawimy się w chowanego, ale nie chcę być odnaleziona, dobrze mi w tym gąszczu ciszy, w cieniu ostaniającym mnie i zapewniającym bezpieczeństwo. Boję się dotyku cudzych rąk, oddechu na twarzy. Nie chcę być zaskoczona przez kogoś znajomego, kto teraz o zmierzchu stał się kimś nieznanym, wrogim i obcym.

Wszystko miga jak w kalejdoskopie. Barwy i dźwięki; tęczy, pulsujący miraż wrażeń. Nigdzie punktu oparcia. Wibrujące, przelatujące chwile. Przeszłość i przyszłość zlewają się. To, co nas wyprzedza, już dawno minęło.



Z wystawy dziecięcych rysunków

I znów ten mroczny pokój. Ostateczność. Co ja tu robię? Dziwny bezwład rąk i nóg. Jednak ten pokój, tak dobrze znajomy, jakbym tu już kiedyś była. Lustro jest zasłonięte. Ktoś płacze.

Konie wciąż pędzą. Wiatr jest moim żywiołem. Karmię się przestrzenią, niczym nieskrepowana. Dawna koleśna utartego szlaku unosi mnie z sobą. Wszystko, co było, będzie. Może już spełnia się w tej właśnie chwili. Krzewy rozszepcą się, drzewo rozlistowi, a ciemny pokój czatuje, przechowując

lustro, które ma być zakryte, dwa srebrne kandelabry na rzeźbionym kredensie, wysokie woskowe świece na drewnianej skrzyni. Noc powleka szyby czarną emalią. Ciemność przechodzi przeze mnie, dzieli na pół. Uciekają częścią siebie, rozciągnęła tu i brzołwna. Stukot kopyt rozsada mi czaszkę. To odbiega, odbiega bezustannie w rytmie rozpadających się chwil.

Opowiadanie pochodzi z książki przygotowanej do druku przez krakowską OFICYNĘ „MINIATURA”

# Co nam zostało z „Marcowego gadania”

Michał Głowiński

Michał Głowiński wyda wkrótce — nakładem wydawnictwa POMOST — książkę pt. „*Marcowe gadanie*” — swoistą kronikę lat 1966—71. Jest to zapis najbardziej charakterystycznych dla propagandy tamtych lat pojęć, sloganów, haseł z prasy, radia, telewizji.

W zapiskach Głowińskiego najbardziej niepokoi pytanie: czy przypadkiem niektóre z haseł „Marcowego gadania” nie rozpoczęły drugiego życia w Rzeczypospolitej...?

## ONI

O stosunku społeczeństwa do władzy informuje sama mowa i jej utarte zwyczaj. Wyraża się ona świetnie w bezosobowym i anonimowym słówku „oni”. Oni kazali, oni zdjęli, oni zamknęli, oni nie pozwolili itp. Mówiący, tak określając elitę władzy, wyraża do niej swój dystans; składają się na nią anonimowi „oni”, bo nie zostali demokratycznie wybrani, bo ich decyzje nie są publicznie dyskutowane, można by jeszcze wymienić sporo przyczyn. Jeden mały zaimek — a oznacza przepaść. Ale znaczy także bezradność, nikt nie ma wpływu na ludzi należących do „onych”, tak jak się nie ma wpływu na zjawiska atmosferyczne, określone konstrukcjami bezosobowymi „pada”, „grzmi” itp. W samym języku więc dokonana się mitologizacja władzy, tak bardzo wyobcowanej ze społeczeństwa. Jest to z całą pewnością mitologizacja negatywna — mimo wszystko nie żyjemy w czasach pierwotnych, w których uświęca się siły potężne a nieznanne.

11 VIII 1966

## PAN

Kiedy ktoś cię określi w polemicie ustnej bądź pisanej panem, wiesz z góry, że nie ma w stosunku do twojej osoby przyjaznych intencji. W dyskusji „pan Kowalski” nie jest odpowiednikiem „*monsieur Dubois*” czy „*mister Jones*”. Jest ironiczne, mimo że w innych związkach będzie miało charakter obojętny i konwencjonalny. „Przyszedł pan Kowalski” — może powiedzieć sekretarka anonsująca szefowi interesanta. Jednakże jeśli ktoś w gazecie napisze: „myli się pan Kowalski sądząc...” rzecz przedstawia się niedobrze. Dziwnymi kolejami losu poczciwy i grzecznościowy „pan” stał się słowem niemal obelżywym. Gdyby było w zwyczaju łączyć z nim nazwiska pur-

puratów, w ostatnich miesiącach czytaliśmy zapewne w prasie o panu Wyszyńskim. W tym szydząco-ironicznym tonie używał tego wyrazu Chruszczow, kiedy mówił o „panach imperialistach”, zwracając się najczęściej do tak określonych osób bezpośrednio w wołacz (a więc w rosyjskim dokonał się ten sam proces ze słowem *gospodin*). Formuła była tym bardziej zabawna, że nie ma człowieka czy grupy ludzi, którzy określiliby się jako imperialiści (równie zabawnie by brzmiało „panowie kieszonkowcy” czy „panowie nieroby”). W polszczyźnie nie ma słowa, które mogłoby w polimice zastąpić „pana”. Obywatel Kowalski brzmi sucho i oficjalnie. Wyraz ten zresztą się nie przyjął, jest symbolem drętwości, a nieoficjalnie ma także zabarwienie ironiczne, znaczy tyle co „niejaki”. Polszczyzna pozbawiona więc została grzecznościowego słowa, którego w dobrych intencjach można używać w dyskusjach. Pozostało dodawanie imienia (bądź jego skrótu) do nazwiska. Pół biedy, kiedy polemizuje się z ludźmi utytułowanymi, wtedy można pisać o dyrektorze, profesorze, doktorze Kowalskim — i to jednak brzmi nudno i oficjalnie; w jeszcze większym stopniu dotyczy to „towarzysza”, którego używają tylko partyjni (w prywatnych rozmowach, jeśli nie są na „ty”, zwracają się zazwyczaj do siebie przez „pan”, w każdym razie w środowiskach inteligentnych). Tak więc na tym przynajmniej odcinku słowo „pan” zostało stylistycznie zabawione i — w konsekwencji — zdegradowane. Genezę tego zjawiska plasowałbym zaraz po roku 1945, kiedy usilnie a bezskutecznie lansowano obywatela. Mianem pana określano tzw. wrogów klasowych (często w ówczesnej publicystyce „pan Mikołajczyk”). „Wrogowie klasowi” przestali istnieć, ale tendencja stylistyczna pozostała i rozszerzyła się.

12 VIII 1966

## SOWIECKI — RADZIECKI

Przekład rosyjskiego przymiotnika „sowieckij” stanowi osobliwość polszczyzny nie znaną chyba innym językom. „Radziecki” w latach tuż powojennych był wprowadzany do codziennej mowy na siłę i przyjmował się z dużymi oporami. Nosił na sobie stempeł oficjalności, zwłaszcza w przemówieniach, gdzie jak w litaniach powtarzała się formuła „ze Związkiem Radzieckim na czele”. W okresie stalinowskim był to najbardziej zsakralizowany przymiotnik mowy oficjalnej. I stał się przedmiotem żywiołowo tworzonych dowcipów. Jeden z nich pamiętam, był przed laty popularny: „w okresie demokracji ludowej przymiotnik dobry zdobył czwarty stopień: dobry, lepszy, najlepszy, radziecki”. W latach międzywojennych „sowiecki” (tak jak bolszewik) oznaczał wszystko, co najgorsze. Wyrażała się w nim nienawiść, obawa itd. Nasiąknął treściami emocjonalnymi, w pewnych sytuacjach miał znaczenie metaforyczne, nie musiał nawet wiązać się z Rosją i z komunizmem. Ze zwyczajami językowymi walczyć nie sposób. Toteż, aby wyrugować słowo, w którym wyrażał się żywiołowo antykomunizm, przetłumaczono je. Stał się przymiotnikiem „radziecki”, który w zasadzie się przyjął. Jeszcze parę lat temu prasa emigracyjna i radiostacje zagraniczne nadające audycje po polsku mówiły o Związku Sowieckim. Teraz i one w zasadzie przekład ten aprobowały. (Wolna Europa mówi od lat o Związku Radzieckim, „Kultura” zaś pozostała przy Związku Sowieckim — przypis późniejszy). „Radziecki” stał się obiegowym składnikiem nazwy państwa, jego wytworów, polityki itp. (jedynie „człowiek radziecki” ma zabarwienie humorystyczne). Było to możliwe także w jakiejś mierze dzięki temu, że nawet w wypowiedziach oficjalnych przymiotnik ten utracił wartość sakralną, stał się obiektywną nazwą. Jego zwycięstwo w mowie potocznej nie jest jednak pewne: ludzie starsi używają wciąż określenia „sowiecki”, większość — „rosyjski”. Także jako o państwie mówi się o Rosji, a nie o Związku Radzieckim. O niewątpliwym rozpowszechnieniu się słowa świadczył jego wadliwy użycia. Kiedyś opowiadał mi pewien księgarz, że wielu klientów prosi go o słownik polsko-radziecki.

14 VIII 1966

## MŁODY POETA

Wbrew nazwie, wiek nie jest tu wcale najważniejszy. Być może młodym poetą to sytuacja społeczna. Formuła określa położenie w hierarchii na literackim rynku. „Młody wskazuje, że poeta nie jest jeszcze pisarzem o ustabilizowanej pozycji, że dopiero się zapowiada, a więc — z drugiej strony — nie jest zdecydowanie zły, że choć nie ma jeszcze dzieł w dorobku, można z nim „wiązać nadzieje”. Młody poeta uczestniczy w pewnych imprezach, konkursach poetyckich (także jeśli granica wieku nie jest określona), w różnego rodzaju festiwalach, zjazdach, „wiosnach”. Praktykuje także pewien obyczaj, mniej lub bardziej cyganeryjny. Określenie „młody” wiąże się zre-

szta nie tylko z poetą, ale z artystami wszelkiego rodzaju, malarzami, kompozytorami, skrzypkami, pianistami itd. Ma ono sens przede wszystkim kulturowy. Jestem przekonany, że o rzeczywistym młodym Konstantym Kulce dość szybko przestanie się mówić jako o młodym skrzypku, bo już w najbliższym czasie ustali on swoją pozycję artystyczną. Pewnych ludzi w ogóle epitet „młody” ominął. Jest to choćby przypadek Mrożka, który najpierw był w ogóle nie znany, a wydanym w roku 1957 *Słoniem* zdobył od razu status pisarza renomowanego, tak że „młody” stało się bezprzedmiotowe (to samo dotyczy Hłaski, który w chwili wydania *Pierwszego kroku w chmurach* miał niewiele ponad dwadzieścia lat). W sposób zabawny przebiega różnicowanie: młody — niemłody wśród poetów. O Grochowiaku od kilku lat już się nie mówi jako o młodym poecie, bez wahania jednak określa się w ten sposób liryków od niego starszych, którzy nie mają na swoim koncie sukcesów literackiego. Jeszcze jedno: wiele osób mówi o sobie jako o młodym poecie (pisarzu, muzyku itd.). Nie są więc świadome dwuznaczności tej autocharakterystyki.

19 V 1967

## MY, POLACY

Ta formułka powraca teraz często. Ci, którzy jej używają, usiłują wmówić, że przemawiają w imieniu całego narodu, że wyrażają poglądy wszystkich, a więc są czymś w rodzaju koryfeuszów chóru. W konsekwencji powstaje fałszywy podmiot zbiorowy, będący jednym z przejawów demagogii. „My, Polacy” używa się zwłaszcza wtedy, gdy chce się wyzskać rzeczywiste emocje narodowe, przede wszystkim zaś, gdy pragnie się nadać pożądany polityczny sens doświadczeniom okupacyjnym. W artykule o śmierci Jana Palacha dziennikarz oświadcza: „*My, Polacy, wiemy, co to znaczy cenić życie ludzkie*” („*Życie Literackie*” 1969 nr 5). Zdanie to jest tak ogólne, że w istocie — wyrwane z kontekstu — nie znaczy nic. Pojawia się jednak zaraz charakterystyczne „ale”. W ostatnich miesiącach formułka ta pada zwłaszcza w artykułach antysemickich („*My, Polacy, pomagaliśmy w czasie okupacji Żydom, a syjoniści teraz organizują antypolskie hece*”) i w publikacjach uzasadniających interwencję w Czechosłowacji. Z tej drugiej okazji pisze się zwykle, że my, Polacy, mamy takie doświadczenia historyczne, które nie pozwoliły nam obojętnie patrzeć, jak Niemcy Zachodnie poszerzały swoje wpływy w Czechosłowacji. Zdania zaczynające się od „my, Polacy” odwołują się z reguły do „prostszych” mitów narodowych, do najbardziej stereotypowych wyobrażeń na temat własnej wspólnoty. Często służą one utwierdzeniu czytelnika w najbardziej megalomani naradowej.

3 II 1969

# ...gdyby się żyło w Polsce

Rozmowa z Florianem Śmieją

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1) bie zarobić i schlebiać gustom masowego odbiorcy. Emigranci wojenni też już nie publikują wiele. Wydawnictwa ostatniej fali przejawiały przez kilka lat dużą aktywność, ale po tym, co się w Polsce stało, straciły w dużej mierze sens istnienia, skoro dziś można w Polsce wydawać bez przeszkód i taniej. Przypuszczam, że te nowe piśma (niektóre z nich przestały już wychodzić) stracą obecnie sponsorów i także staną w obliczu kryzysu. Poczekajmy rok czy dwa, a sytuacja na zagranicznym rynku literackim zmieni się zasadniczo. W każdym wypadku nie zaszkodzi wprowadzić inną kalkulację, nowoczesną technologię i racjonalizację wysiłku wydawniczego.

• Bywa Pan prawie co roku w Polsce i na bieżąco śledzi przemiany zachodzące w kraju. Jak Pan ocenia życie literackie w Polsce, jakie książki, zjawiska literackie wydają się Panu najciekawsze w kończącej się dekadzie?

— Ubiegła dekada należała do Miłosza. Jego ponowne odkrycie przez Polaków i triumfalny przyjazd do Polski odmienionej były windykacją nie tylko słów, że poeta pamięta, ale że i poecie nie zapomniano.

Dekada lat osiemdziesiątych musi dla wielu ciągle jeszcze stanowić krajobraz niewyraźny, zamazany, zbyt dramatyczny, by można było ryzykować roztropny sąd. Dzieło dzieło nierówne, ale książka ukazująca się w drugim obie-

gu miała aurę, której nie posiadała publikacja oficjalna, wartościowanie było więc często emocjonalne, potępienie czy chwalebne — nie uzasadniane. Muszą wpiąć opasł namiętności i uprzedzenia, wrócić umiar i zaistnienie tolerancja, by ustąpiła np. dyskryminacja wobec nazwisk czy tematów. Ostatnie lata bardzo pilnie wypełniały tzw. białe plamy i słusznie, choć nie wszystkie te publikacje sensacyjne utrzymują się jako dzieła literackie. Czytelnik żądny był dokumentów, wywiadów czy pamiętników, mniej potrzebna była literatura piękna, a już poezja stała się luksusem. Mobilizował jeszcze „Raport z obłożonego miasta” Zbigniewa Herberta, ale funkcje poety poprzednich dekad przejął reporter i działacz. Satisfakcję dawała literatura rozrachunkowa, sensacyjne wywoływały domlemane spowiedzi dotychczasowych prominentów.

• Zygmunt Liehniak w swej pracy pt. „Mój skoro-

widz poezji polskiej na emigracji” skomentował Pańską postawę jako „przykład sensownie pojętej i realizowanej «pomostowości» między krajem a emigracją”. Jakby Pan to skomentował i jak ta „pomostowość” winna wyglądać dziś i w przyszłości?

— Ocena Zygmunta Liehniaka dotyczyła okresu, który szczęśliwie mamy już za sobą. Wybory były niełatwe: kontakt z Polską dla piszących młodych był konieczny, a równocześnie skazany na manewrowanie między chytrą komunistyczną Scyllą a Charybdeą kategorycznych zakazów Londynu. Nie obyło się bez pomówień i plotek, ale w stosunkach międzyludzkich jest to nie do uniknięcia i było to ceną wartą zapłacenia.

Pytanie staje się obecnie szersze: dotyczy sytuacji człowieka piszącego, kondycji, która determinuje zadania, jakie sobie stawia i sens, jaki widzi w swoich wysiłkach. Nie ulega wątpliwości, że przymus wewnętrzny jest tylko jednym z elementów: potrzebujemy codziennej stymulacji, bycia w środowisku wydarzeń. Pisarz żyjący poza własnym społeczeństwem traci możliwość bezpośredniego

oglądu, uczestniczenia, szybkiej reakcji i świadomości, że ewentualnie może mieć w tym udział. Z drugiej strony, zyskuje dystans, możliwość oglądania z perspektywy, która pozwala na większą obiektywność, rzeczowość. Niemniej największym nieszczęściem jest brak tych stymulujących bodźców. Trudno się oprzeć świadomości, że gdyby się żyło w Polsce, to napisałoby się więcej. Jest to dramat chyba wszystkich ludzi piszących za granicą, nie tylko emigrantów politycznych. Same zle warunki ekonomiczne nie decydują o mniej intensywnym życiu artystycznym i kulturalnym, a raczej przeciwnie. Na emigracji człowiek zaczyna rozumieć, że może jego sens polega na tym, żeby być ogniwem między polską kulturą a innymi. Wydaje się to oczywiste, choć nie wolno na tym poprzestać na pełnieniu tylko funkcji ognia. Trzeba się również zdobyć na wysiłek twórczości własnej dysponując dużą swobodą, ale jednocześnie piętnowany skazaniem na samotność, na brak drugiej osoby, na nieobecność szerszego odbiorcy.

London, Ontario, 15.01.1991

# Rewolucja jest zazwyczaj najgorszym rozwiązaniem

Josef Škvorecký

(CIAĞ DALSZY ZE STR. 1)

Proszę zauważyć, że pominąłem zwykłych lumpów. Osoby z zasadami, sprawiedliwe, osoby o szlachetnych, ludzkich charakterach, osoby nieegoistyczne oraz inteligentne chcą czasem żyć w jakiś sposób, lecz później wymkną się on im z rąk. Nie zostaną przywódcami rewolucji. Staną się natomiast jej ofiarami: ofiarami rozgoryczenia, rozczarowania, często wyrzutów sumienia. Groteskowo zawiedzione nadzieje, skarykaturowane ideały — oto jest definicja rewolucyjnego sukcesu. W każdej rewolucji znajdziecie się złamane przez takie właśnie sukcesy.

Czy można coś jeszcze dodać do tej wnikliwej analizy? Wydaje mi się, że idealnie przystaje do poszczególnych zdarzeń. Przypomnijmy sobie choćby braci Strasserów, tych fanatycznych niemieckich socjalistów: jednego zlikwidowała jego własna partia robotnicza, drugi najpierw musiał uciekać do kapitalistycznej Czechosłowacji, a stamtąd do liberalnej Anglii. Ich ruch dostał się w ręce typowego „intelektualnego bankruta epoki”, niewydarzonego malarza o nazwisku Adolf Hitler. Przywołajmy też Borysa Pilniaka zlikwidowanego w czasach, gdy skrytobójczy naukowi biurokraci (których tak celnie opisał w noweli *Skradziony księżyc*), zawsze zdolni do robienia kariery po trupach innych, rojali te kariery pozostawiając za sobą ślad z ludzkich czaszek. Pomyślmy także o kubańskich „ochotnikach” umiających ze zdumieniem na twarzach w obcych krajach, gdzie znaleźli się wbrew wszelkim prawom i gdzie zabijali czarnych bojowników, walczących tam od lat z kolonialną władzą. Przypomnijmy sobie niemieckich komunistów, którzy po nazistowskiej *Machtübernahme* uciekli do Moskwy, a potem zostali wydani na powrót w ręce gestapo, ponieważ Stalin wyjątkowo dotrzymał słowa danego Hitlerowi. Jeśli byli Żydami, zlikwidowano ich natychmiast, a pozostałych osadzono w Mauthausen lub Ravensbrück. Wszystko to są już dawne dzieje.

Rewolucja — przeproszam za kolejny frazes — lubi zjadać własne dzieci. A jeśli komuś przeszkadza takie cliche, powiem inaczej: rewolucja jest ludożercą.

Według szacunków

**komunistyczne rewolucje  
z użyciem przemocy  
skonsumowały w naszym  
stuleciu około stu milionów  
ludzi**

— mężczyzn, kobiet i dzieci. I cóż przyniosła tak obfita uczta? W zasadzie dwie rzeczy, obie przewidziane przez tzw. klasyków marksizmu-leninizmu: obumarłe państwo oraz Nowego Socjalistycznego Człowieka.

Państwo rzeczywiście obumarło — zmieniło się w twór na podobieństwo mafii w doskonały policyjny reżim. „*Mysłobrodnia*”, przez większość ludzi traktowana jako przesadny żart umierającego na gruźlicę Ge-

orge'a Orwella, stała się rzeczywistością we współczesnym „realnie istniejącym socjalizmie”, jak swoje status quo ochrzcieli spadkobiercy Stalina w Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Materialne warunki życia w owych postrewolucyjnych państwach policyjnych są zawsze na niższym, niekiedy nawet znacznie niższym poziomie niżeli w rozwiniętych demokracjach zachodnich, niemniej pojawił się tam rzeczywiście NOWY CZŁOWIEK. Zgodnie z przewidywaniami.

No, może nie tak zupełnie dosłownie. Kim on właściwie jest? Otóż jest to stworzenie inteligentne, gotowe — czasem po prostu dla zachowania życia, a czasem dla utrzymania na dotychczasowym poziomie warunków bytowania — do rezygnacji z jedynych cech odróżniających je od pozostałych istot żywych: swej inteligencji oraz moralnych kryteriów, swej zdolności do swobodnego i otwartego formułowania myśli. Upodobniło się do trzech małpek, figurki, którą kupić można w sklepach ze starzyzną: jedna przykrywa sobie łapą oczy, druga uszy, trzecia pysk. Nowy Socjalistyczny Człowiek stał się w gruncie rzeczy nową Trójcą ery postrewolucyjnej.

Dlatego też podzielnym poglądem Camusa, że w ostatecznym rozrachunku należy dać pierwszeństwo kapitalistycznej demokracji a nie reżimom stworzonym przez gwałtowne rewolucje. Muszą także zgodzić się z Leninem, że ci, którzy po ujawnieniu wszystkich tych archipelagów Gułag (oraz po Grand Guignolu w wykonaniu polskiej kompartii, żądającej od „Solidarności”, aby przestała pyskować, bo inaczej polski naród zostanie zniszczony — zgadnijcie, proszę, kto mógłby zniszczyć?) nadal wierzą w gwałtowne rewolucje, są „pożytecznymi idiotami”.

Stając w obronie „rewolucyjnego” gwałtu, zacofani intelektualści Zachodu wysuwają niekiedy argument, że kapitalizm ma na sumieniu podobne występki. Co prawda większość z nich popełniono w przeszłości, nierzadko bardzo odległej, niemniej nadal są one dokonywane, zwłaszcza w tzw. trzecim świecie. Cóż, usprawiedliwienie występku poprzez stwierdzenie, że dopuścili się ich (lub włączyć dopuszczają) inni, jest — mówiąc łagodnie — niestosowne.

**Dawanie rozgrzeszenia  
komunistycznej inkwizycji**

za pośrednictwem Kościoła katolickiego, że postępował on identycznie w okresie kontrreformacji, równa się przyznaniu, iż komunizm jest powrotem do czasów kontrreformacji. Potępienie generała Pinocheta za torturowanie swych więźniów politycznych, a potem przehandlowanie własnych politycznych, świeżo wypuszczonych z „psychuszek”, na więźniów generała Pinocheta jest przykładem czarnego humoru.

Czy oznacza to, że odrzucam jakąkolwiek gwałtowną rewolucję bez względu na lokalne okoliczności? W swoim życiu widziałem zbyt wiele rozpaczy, bym pozostawał ślepy na te aspekty. Nie wierzę tylko w dwie rze-

czy. Po pierwsze uważam, że mianem rewolucji nie należy określać zbrojnego powstania spowodowanego przez długotrwałe występki oraz uzurpowanie władzy, zmierzające ciągle do jednego celu, a mianowicie do posłuszeństwa człowieka wobec absolutnego despotyzmu. Albowiem skoro taka rewolucja prowadzi do kolejnych „długotrwałych występku i uzurpowania władzy”, a w następstwie do wybuchu powstania, powstanie takie — zgodnie z językową logiką — należałoby nazwać kontrrewolucją. Jednak w naszym kręgu kulturowym pojęcie to posiada znaczenie pejoratywne, na które z pewnością nie zasługuje.

Po drugie: nie wierzę, by jakakolwiek gwałtowna rewolucja z inspiracji komunistów lub faszystów mogła przynieść powodzenie, z wyjątkiem tego opisanego w cytowanym fragmencie z Conrada. Krótko mówiąc —

**nie ufam ideologiom  
autorytarnym**

Każda rewolucja dokonująca się przy współudziale komunistów lub faszystów musi przetrwać się w dyktaturę, państwo zaś w organizm jawnie zarządzany przez policję. Ani faszysty, ani komuniści nigdy nie pogodzą się z demokracją, ponieważ ich celem ostatecznym — dla jednych *Führerprinzip*, dla drugich dyktatura proletariatu — jest właśnie ów absolutny despotyzm, o którym mówił Thomas Jefferson. Partnerów w rewolucyjnych poczynaniach tolerują dopóty, dopóki są im oni potrzebni do obalenia dotychczasowej władzy — bynajmniej nie dlatego, że wszyscy komuniści czy też faszysty są z definicji ludźmi złymi, lecz dlatego, że są zdyscyplinowanymi wyznawcami ideologii, które nakazują im takie a nie inne zachowanie, zgodne z dyrektywami Hitlera lub Lenina. Faszysty okazują w tym względzie więcej szczerości: głoszą otwarcie (przynajmniej tacy byli nasi), że demokracja jest bzdurą. Lenin w swoich bardziej mistycznych przebiegach był równie szczerzy, ale komuniści posługują się przede wszystkim nowomową. I ledwie okrzepnie ich władza, niszczą demokrację tak samo skutecznie jak faszysty. Przeważnie nawet z lepszym skutkiem.

Być może powyższy dowód jest co najmniej ogólnikowy, a jako że indywidualistyczni Anglosasi zazwyczaj domagają się konkretnych, indywidualnych przykładów, postaram się przytoczyć kilka z nich.

**Kilka przykładów**

W KANADZIE MIESZKA STARY PROFESOR UNIWERSYTECKI, VLADIMIR KRAJINA. Wykłada na Uniwersytecie Kolumbii Brytyjskiej w Vancouver. Jest wybitnym botanikiem, którego rząd kanadyjski obsypał najszlachetniejszymi wyróżnieniami za prace na polu ratowania flory Kanady. Podczas drugiej wojny światowej należał Krajina do najdzielniejszych antyhitlerowskich konspiratorów. Posiadał krótkofalówkę, którą czeski ruch oporu wykorzystywał do przekazywania do Londynu niezwykle ważnych raportów, zawierających informacje zebrane przez członków czeskiej konspiracji w przemyśle zbrojeniowym, przez „naszych ludzi” w biurokratycznym aparacie Protektoratu Czech i Moraw, mających dostęp do hitlerowskich tajemnic państwowych, wreszcie przez agentów brytyjskiego Intelligence Service, jak np. słynny A-54. Gestapo, rzecz jasna, usiłowało wytropić profesora Krajinę. Przez parę lat musiał zmieniać kryjówki, pozostawiając za sobą krwawy ślad — trupy gestapowców zastrzelonych przez jego współtowarzyszy, oraz ludzi, którzy udzielili mu schronienia, za co później zginęli z rąk gestapo. Po wojnie Krajina został posłem z ramienia czeskiej Partii Narodowo-Socjalistycznej, lecz funkcję tę sprawował niewiele ponad dwa lata. Natychmiast po komunistycznym puczu w roku 1948 ponownie musiał się ukrywać, by w końcu zbiec z kraju. Dlaczego? Ponieważ komuniści nigdy mu nie zapomnieli, że podczas wojny przetrzymał czeskie organizacje podziemne przed współpracą z komunistami. I miał rację. Nie był jedynym człowiekiem zmuszonym do ucieczki. Komuniści postawili wobec konieczności opuszczenia kraju setki innych uczestników antyhitlerowskiego ruchu oporu,

ci zaś, którzy uciekać nie chcieli lub nie mogli, skończyli albo na szubienicy, albo w łagrach, albo — jeśli im dopisało szczęście — przy łopacie. Wśród nich znajdowało się także wielu czeskich lotników RAF, bohaterów bitwy o Anglię. Identycznie rzecz się miała w pozostałych krajach środkowo- i wschodnioeuropejskich, dzisiaj zaś ten sam scenariusz powtarzany jest na Kubie, w Wietnamie, w Angoli. Najnowszy casus to Nikaragua.

W Opublikowanym NIEDAWNO ARTYKULE W „THE NEW YORK REVIEW OF BOOKS” V. S. NAIPAUL OPOWIADA O SWOICH PRZEŻYCIACH Z REWOLUCYJNEGO IRANU. Spotkał tam studenta-komunistę, który najpierw pokazał zdjęcie przedstawiające jego partyjnych towarzyszy, właśnie zgładzonych przez Islamską Gwardię Rewolucyjną, a potem zwierzył mu się ze swoją miłością do Stalina: „Kocham go. Był jednym z największych rewolucjonistów... My w Iranie musimy zrobić dokładnie to samo, co on zrobił w Rosji. Musimy zabijać i jeszcze raz zabijać. Dużo zabijać... musimy zabić wszystkich burżujów”. Ale dlaczego? Żeby powstał jakiś brzezniewski Iran? Żeby można było wysłać z Iranu dziesiątki tysięcy nowych „klientów” do syberyjskiego Gułagu? Widać na burżujach już nikomu nie zależy. Byli pożyteczni, gdy walczyli przeciwko szachowi, podobnie jak przydatni byli kadeci i esery w roku 1917, gdy obalali carską władzę. Teraz nie są już potrzebni. Zostali „faszystami”, podobnie jak barceloński anarchiści, obrzuceni błotem słownika nowomowy w komunistycznej prasie, o czym pisze Orwell w *Holdzie dla Katalonii*. Zmienili się w nieludzi. James Jones powiedział kiedyś: „...jak łatwo zabić rzeczywistych ludzi w imię takiej czy innej cholernej ideologii; gdy tylko jakiś bandzior potrafi sprowadzić ich do poziomu symboli, nie musi mieć poczucia winy za to, że zabił, ponieważ dla niego nie są już rzeczywistymi ludźmi”. Żydzi w Oświęcimiu, zekowie w Gułagu, burżuje w komunistycznym Iranie. To już nie są ludzie, tylko symbole. *Revolutionsst...*

KIEDY ANGELA DAVIS SIEDZIAŁA W WIĘZIENIU, NAWIĄZAŁ Z NIĄ KONTAKT CZESKI POLITYK SOCJALISTYCZNY, JIRI PELIKAN, BYŁY KOMUNISTA, aktualnie zaś członek Parlamentu Europejskiego z ramienia Włoskiej Partii Socjalistycznej, i za pośrednictwem pewnej amerykańskiej komunistki zapytał, czy podpisałaby protest przeciwko uwięzieniu w Pradze wielu komunistów. Zgodziła się, lecz dopiero po wyjściu na wolność, ponieważ wcześniej podpisałaby podobno wpłynąć niekorzystnie na przebieg procesu. Natychmiast po uwolnieniu oświadczyła za pośrednictwem swej sekretarki, że naturalnie, będzie walczyć o wolność więźniów politycznych na całym świecie, jednakże z wyjątkiem państw socjalistycznych. Albowiem każdy, kto siedzi w socjalistycznym kryminale, musi być wrogiem socjalizmu, czyli zasługuje sobie na takie właśnie miejsce. Wszystkie ptaki fruwać. Struś jest ptakiem. A więc struś fruwa. Tyle o profesorze filozofii Angeli Davis.

Tyle, jeśli chodzi o konkretne przykłady.

W swoich *Zeszytach* Albert Camus zanotował rozmowę, jaką odbył z jednym ze swych komunistycznych współbojowników z czasów antyhitlerowskiego ruchu oporu: *Prawdziwy problem polega na tym, że bez względu na okoliczności ja zawsze będę was osłaniał przed karabinami plutonu egzekucyjnego, wy natomiast będziecie się musieli zgodzić z tym, aby mnie zastrzelono*.

Evelyn Waugh, którego — nie ukrywam — cenię sobie najwyższymi ze wszystkich współczesnych pisarzy brytyjskich, w wywiadzie z Julianem Jebbem powiedział: „*Artysta musi być reakcjonistą. Musi postępować na przekór duchowi epoki, a nie dać się unosić ogólnemu nurtowi; musi się zdobyć na przynajmniej odrobinę opozycyjności*”.

Wszystko, co mi wiadomo na temat gwałtownych rewolucji, już to z książek, już to z osobistych doświadczeń, przekonuje mnie, że Waugh ma rację.

Oto jest moja odrobina opozycyjności.

Przełożył: Jan Stachowski

# Esej jako świat

Marta Wyka

**P**ośród do niedawna podziemnych pisarzy emigracyjnych najbardziej konsekwentnie i spektakularnie osiągnął poziom szerokiej dostępności Gustaw Herling-Grudziński (pomijam tutaj Miłosza, którego pozycja zawsze była nieco inna, chociażby z powodu nietypowego wejścia w emigrację). Ukazuje się zatem „Dziennik pisany nocą”, opowiadania, eseje, wszystko chyba, co Herling stworzył. Doczekała się nawet wznowienia w kraju debiutancka, ale ważna książeczka „Żywi i umarli”. Można zatem w tej komfortowej sytuacji nie tyle przybliżyć pisarstwo Herlinga (czyli streszczać je własnymi słowami) ile poddawać je zabiegom interpretacyjnym bardziej wyszukany, zapisywać marginesy jego książek refleksjami, które wywołują, choćby nawet odbiegały one od literatury. I takich właśnie uwag parę chcę zapisać na marginesach „Godziny cieni”, czyli wyboru esejów Herlinga-Grudzińskiego opublikowanego przez wydawnictwo Znak.\*

Te eseje są o wszystkim, to znaczy nie wiąże ich tematyczna hierarchia, akademicka skrupulatność, polityczna obsesja. Są więc, najpierw idealnym obrazem gatunku: wykorzystują bowiem wszystkie jego prerogatywy, na pierwszym miejscu zaś wielki dar literackiej wolności, który, właściwie wykorzystany, może uczynić z eseju odbicie świata; są to przecież przywileje, pozwa-

lające na włączenie w esej dyktando fabularnym (powieściowym) charakterze, albo też wprowadzające tok eseistyczny do intymnego dziennika, albo też nadające mu kształt opowieści o ludziach i czasach. Dobrze, kiedy esej nie jest krytyką literacką (czyli interpretacją dzieła), dobrze, kiedy każe nam myśleć raczej o literaturze pięknej sensu stricto niż o kanonach oceny książek i pisarzy.

Eseje Herlinga budują pewien świat indywidualny, spróbujmy go opisać. Tom, o którym mowa ujęty został w dwie klamry: są to „Godzina cieni” — zamiast wstępu i „Ostatni rozdział” — zamiast posłowie. Myślę, że nie należy przeoczyć ich funkcji światopoglądowej. Otwarcie całego tomu jest nawiązaniem do młodości Herlinga-Grudzińskiego w początkach okupacji. Odwiedzamy po raz ostatni wraz z pisarzem jego dom rodzinny w Kieleckiem, skąd młody człowiek udaje się do Lwowa i Grodna (mówią o „młodym człowieku” chcę podkreślić edukacyjny charakter tego otwarcia). W Grodnie zostaje aresztowany i wywieziony do Rosji. Jego los jest przypieczętowany, powrót do stron rodzinnych niemożliwy. Zatem w tej książce, „wolnej od nalogu wspomnień” — jak powiada autor — jeden tylko obrót wstecz posiada znaczenie godne zapisania: to ścieżka młodości czyli doświadczenie trwałe w świecie pozbawionym norm i ulotnym.

Rozdział „Zamiast posłowie” mówi o bitwie pod Monte Cassino. Dlaczego o niej właśnie? Nie dość, że była doświadczeniem osobistym, zamknęła ona również, według Herlinga, rozdział emigracji wojennej, po której nastąpić miała emigracja inna „skryta i podziemna”.

Książka, włożona w takie ramy posiada — jak myślę — charakter opowieści o przygodach pewnego umysłu, poddane doświadczeniom ostatecznym. Były nimi zaś: utrata domu i ojczyzny, zesłanie, nieudana próba odzyskania wolności (mimo że Niemcy zostali pokonani pod Monte Cassino), wędrówki wśród takich książek współczesności, które są w stanie ją zdefiniować. I chociaż Herling-Grudziński sądzi, iż historia jest chaosem — to przecież stara się zaprowadzić w niej pewien porządek. Można by zresztą powiedzieć inaczej: porządek ten buduje się w świadomości czytelnika w trakcie lektury esejów, jest poniekąd jej konsekwencją. Zatem esej — czy też ich zbiór — może kreować rzeczywistość na podobnych zasadach, jak dzieje się to w literaturze pięknej. Młody Herling-Grudziński pozostawał — podobnie jak wielu jego literackich rówieśników — pod wpływem pisarstwa Conrada. Fakt to znany. Jako dojrzali twórcy dążyli dalej Conradowskie dzieło, lecz nie to klasyczne, tylko to mniej typowe. Bliższe za to ewolucji nasze-

go wieku: chodzi oczywiście o powieść „W oczach Zachodu”. Znakomita interpretacja Herlinga łączy jednocześnie bohaterów conradowskich z takim typem rewolucjonisty, jaki zarysował Camus w „Człowieku zbuntowanym”. Zaczyna się zatem zawiązywać porozumienie pomiędzy określonymi postaciami literackimi; tymi, stworzonymi przez Conrada, Kafkę, Dostojewskiego, Camusa. Podstawę ich wspólnoty oraz literackiej egzystencji stanowi przeświadczenie o absurdalnym charakterze rzeczywistości, podejmując z nią nierówną walkę są zarazem naznaczeni jej wpływem, call z niej pochodzą. Herlinga interesuje nade wszystko ten „człowiek absurdalny”, jego meandryczne losy, jego bunt i porażki dokonujące się w konwencji anty-realistycznej. Nowoczesnym wcieleniem buntownika będzie zapewne outsider czy „młody gniewny”. Zyjemy zatem — tak jest w kontekście zaproponowanym przez Herlinga — w wieku wielkiego, egzystencjalnego buntu jednostki, a także w wieku rewolucji. Oraz w wieku banalnych demonów — określenie dotyczy Eichmanna, wykonawcy hitlerowskiego planu fizycznej eksterminacji Żydów.

Tematyczne spectrum esejów z „Godziny cieni” wydaje się nam bardzo rozległe. I tak jest w gruncie rzeczy. A jednocześnie cała ta swoboda i zachłanność tematyczna służy celowi wytyczonemu bardzo stanowczo. Ten cel wewnętrzny i poznawczy, czyli refleksja nad światem i jego empiryczny opis, zmierzają ku ogólnieniu. Z poszczególnych tekstów powstaje obraz współczesności takiej, jaką chciałby Herling pokazać swoim czytelnikom. Osobiste losy pisarza

tak się potoczyły, że istotnym punktem doświadczenia stała się Rosja sowiecka. Skutkiem pisarskim owego doświadczenia są „Upiory rewolucji” — szkice o Bablu, Pasternaku, Sołżenicynie, znakomita opowieść kryminalna o „Siedmiu śmierciach Maksyma Gorkiego”, wszystkie składające się na opowieść o rosyjskim maksymalizmie, bo on najbardziej Herlinga pociąga. Zatem rozdział rosyjski posiada istotne miejsce w naszej współczesności — to konkluzja czytelnika.

Pomiędzy światem Europejskim a światem, który otworzył Europejski marksizm de Cus-tine istnieje obszar pośredniczący, który łagodzi konflikty i dramatyzm tych doświadczeń: to kultura. Wydaje się, iż nie bez głębszego powodu część „europejską” „Godziny cieni” odgradza od „Upiory rewolucji” esej „Siena i okolice” dedykowany Zbigniewowi Herbertowi.

Kultura może stać się — tradycyjnie — miejscem ucieczki i Herling korzysta również z tej możliwości. Ten obszar trzeci łagodzi dramatyzm i tragizm jego ontologicznej postawy. A zarazem pozwala narysować rzeczywistość pełną: obok banalnego i demonicznej rosyjskości istnieje w niej śródziemnomorski azyl i dlatego będzie to rzeczywistość pozwalająca się przeżyć.

Raz jeszcze kultura da się obronić, pomimo krańcowych doświadczeń dwudziestego stulecia. Herling — pisarz tragiczny w tym punkcie okazuje się zdecydowanym optymistą.

Gustaw Herling-Grudziński: „Godzina cieni”, Znak 1991, s. 386

## Autoprezentacja

# Leszek Szaruga o swojej książce

**U**chwycenie przemian zachodzących w polskiej poezji najnowszej — zwłaszcza w ich relacji z przemianami społeczno-politycznymi, co w niniejszej pracy stanowi podstawowe zadanie — nie da się „ustrukturalizować”. Stąd też nie wydaje mi się celowe wyodrębnianie i omawianie we wzajemnej izolacji poszczególnych problemów tej poezji. Tym bardziej, iż — jak starałem się to ukazać — ich przeobrażenia, nie raz bardzo daleko idące w twórczości jednego i tego samego autora (np. Adama Ważyka, Wiktora Woroszyńskiego czy Wisławy Szymborskiej), uwarunkowane są przez rytm przeobrażeń społecznych. Rzadziej mamy tu do czynienia z gwałtownymi mutacjami, najczęściej z powolną ewolucją.

Stąd też problemy z periodyzacją okresu stanowiącego przedmiot mego zainteresowania. W zasadzie można bez szczególnych dyskusji przyjąć oczywistość daty wyjściowej: rok 1939. Kolejna data: rok 1944, czyli data powstania Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, też wydaje się stanowić czytelną cezurę. Można już jednak dyskutować nad uznaniem za kolejną cezurę roku 1950: z historycznego punktu widzenia data istotniejsza wydaje się rok 1943, wszakże w życiu literackim właśnie rok 1950 stanowi w moim przekonaniu datę graniczną — czy to ze względu

na zamknięcie „Kuźnicy” i „Odrodzenia”, czy ze względu na utrwalenie przez kolejny po szczecińskim Zjazdzie Związku Literatów Polskich zasady doktryny realizmu socjalistycznego. Rok 1956 zdaje się datą czytelną, jednak i tu rodzą się wątpliwości: bieg przemian literackich dość znacznie wyprzedził wydarzenia polskiego Października i nie był to dla naszego piśmiennictwa moment zwrotny — przypomnijmy tu choćby, iż Miron Białoszewski swój eksperymentalny teatr poetycki ożywił przed tą tak ważną w życiu społecznym datą. Największe wątpliwości, jak sądzę, rodzi zamknięcie kolejnego „etapu” w roku 1963, tu jednak wydarzenia w życiu kulturalnym zdają się mieć znaczenie decydujące: faktyczne zakończenie „otwartej” polityki kulturalnej po Październiku, zakaz działalności Klubu Krzywego Koła, powołanie w miejsce zlikwidowanych „Przeglądu Kulturalnego” i „Nowej Kultury” tygodnika „Kultura” oraz protest 34 intelektualistów przeciw zaostrzeniu cenzury. Dalsza cezura — rok 1968 — może z punktu widzenia historii życia politycznego wydawać się mniej istotna od daty 1970, jednakże sądzę, że właśnie wydarzenia z roku 1963 miały dla kultury i literatury bardziej doniosłe skutki. I wreszcie rok 1973 — równo protesty społeczne, jak zainicjowane przez nie prze-

miany w strukturze życia kulturalnego (powstanie niezależnego od cenzury „drugiego obiegu”) zdają się, podobnie jak wydarzenia roku 1980, stanowić wystarczające uzasadnienie w przyjęciu tych dat jako momentów wyznaczających również zmiany w literaturze.

Oczywiście nie podejmuję się, i nie sądzę, by było to potrzebne, dowodzić, że ten łańcuch periodyczny jest jedynym, który można skonstruować. Wydaje się wszakże, że jest on dla potrzeb niniejszej pracy funkcjonalny.

Szkielec konstrukcyjny stanowi następstwo kolejnych debiutów pokoleniowych. Przyjmując za Kazimierzem Wyką 10-letni rytm następstw generacyjnych, omawiam tu kolejno starty literackie roczników 1920, 1930, 1940 i 1950. Jednakże i tu sytuacja nie wydaje się klarowna: w okolicach roku 1956 mamy do czynienia z dyfuzją debiutów pokolenia 1920 i pokolenia 1930 wywołaną perturbacjami życia społeczno-politycznego, z inną dyfuzją pokoleń mamy do czynienia w okolicach roku 1960 — szczególnie omawiam tu zagadnienie w rozdziale poświęconym Orientacji Poetyckiej Hybrydy.

Następstwo pokoleń w literaturze, każdy debiut generacyjny oznacza — zwłaszcza w kulturze nowoczesnej — istotne zdynamiczowanie życia artystycznego, widoczne m.in. w dopływie nowej problematyki i w próbach przewartościowania tradycji. Trudno jednak w rozważaniach tych zagadnień abstrahować od re-

lacji, w jakie wchodził poeta debiutantów z literaturą równoległą pisaną przez twórców już w życiu literackim obecnych. Stąd też — z konieczności potraktowane jako odrębne całości — znalazły się w tej pracy rozdziały poświęcone procesom literackim równoległym do wystąpień debiutantów. W obu też wypadkach — w rozważaniach problematyki kształtującej poezję występujących pokoleń i w opracowaniach przemian twórczości autorów starszych — konieczne się stało odmiennie ujęcie społeczno-politycznego tła literatury: zdaje się to wynikać m.in. z faktu odmiennego odczuwania rytmu wydarzeń społecznych przez pisarzy młodszych, przez których czas odbierany jest bardziej „gorąco”, i starszych, na ogół — choć przecież nie zawsze — bardziej wobec wydarzeń aktualnych zdystansowanych.

W literaturze polskiej — czego udowodnić nie trzeba — dominują zagadnienia historyczne. Lecz zarazem widoczne są w niej nurty zmierzające bądź do zdystansowania się wobec tych centralnych zainteresowań, bądź odrzucające zbyt doraźny, pozbawiony metafizycznej perspektywy stosunek do rzeczywistości. Literatura rozdarta jest między powinności społeczne a obowiązki literackie. W omawianym tutaj okresie to rozdarcie — tak w samych wierszach, jak w wypowiedziach programowych czy dyskusjach literackich — zdaje się być jednym z głównych (choć nie zawsze wprost artykułowanych) problemów. Stąd też koniecz-

ność możliwie dokładnego zarysowania społeczno-politycznego kontekstu literatury.

Starałem się — prócz próby ogarnięcia możliwie wielu zjawisk i zarysowania ich tła społecznego oraz wykorzystania ich w tradycji literackiej — odtworzyć przynajmniej w zarysie ich dialogową strukturę. Należało się zatem w opisie przemian poezji po roku 1939 dwie perspektywy obserwacyjne, których nie chciałem od siebie izolować: pierwsza z nich to próba „obserwacji uczestniczącej”, druga to próba historycznoliterackiej obiektywizacji. Zapewne — połączenie obu stanowisk w harmonijną postawę jest niemożliwe. Toteż bez wątpienia nieuniknione było w pewnych wypadkach zachwianie proporcji.

I tak — co starałem się w niniejszej pracy wykazać — do podstawowych problemów współczesnej poezji polskiej należą: skupienie się na zagadnieniach społecznych z silną tonacją moralistyczną, próba kontynuacji przewartościowania linii wyznaczonej przez twórczość Norwida i Leśmiana, dążenie do rozwiązania sprzeczności między „społecznym zaangażowaniem” a literacką autonomią tekstu poetyckiego. Problematyka ta ulegała rzecz jasna, nawet bardzo daleko idącym przemianom w zależności od wielu czynników jednocześnie: modelu polityki kulturalnej państwa, zmian ogólnego tła społeczno-politycznego, dopływu poezji innych obszarów językowych, odnawiania odległych nurtów tradycji itp. Wokół tak określonych punktów odniesienia starałem się w niniejszej pracy odtworzyć proces rozwoju tej poezji.

LESZEK SZARUGA: Walka o godność. Poezja polska w latach 1939—1988, Veronika Körner Verlag, Berlin, 1990, s. 350.

# Milczące sejfy Szwajcarii (VII)

Jean Ziegler

W nie znanej w Polsce, a głośnej na Zachodzie reporterskiej książce „Milczące sejfy”, J. Ziegler udowadnia tezę, że większość tzw. brudnego szmalu, pochodzącego z międzynarodowego handlu narkotykami — „pierze się” w czystych z pozoru szwajcarskich bankach. Całość — tłumaczona przez Stanisława Mędaka — ukaże się nakładem Wydawnictwa Literackiego.

**W BERNIE MIESZKA KTOŚ, KTO Z POWAGĄ DOŚWIADCZONEGO CZŁOWIEKA ŚLEDZI TE WSZYSTKIE WYDARZENIA.** Nazywa się Peter Niese. Jest szefem amerykańskiego oddziału DEA działającego w Szwajcarii. DEA posiada status służby bezpieczeństwa i działa na całym świecie. Posiada około 3000 agentów. W skład DEA wchodzi wyspecjalizowani, wyselekcjonowani pracownicy o wyjątkowych walorach moralnych, psychologicznych i fizycznych. DEA rekrutuje swych współpracowników spośród wojskowych, spośród policji i prawników, którzy mają za sobą wyjątkową karierę zawodową. Selekcja jest bardzo rygorystyczna. Kilku z nich nazwać można prawdziwymi herosami. Przykładem może być Sam le Blond, wywiadowca DEA, któremu udało się przeniknąć do siatki turecko-libańskiej. Jego tożsamość znana jest jedynie sędziemu śledczemu z Bellinzony. Sam jest wywiadowcą niezwykle odważnym. Prowadzi rozmowy z Hacı Mirzą w dzielnicy zamieszkałej przez bandę. Rozmowy odbywają się w willi Mirzy, która znajduje się na wzgórzach Istanbula. W podziemiach jednego z banków w Zurychu pokazuje staremu lisowi pakiet, zawierający 3 miliony dolarów, przeznaczonych na sfinansowanie dostawy morfiny. Zaniepokojony Mirza prosi o pokazanie laboratorium „bandy Sama”. Amerykańska DEA przygotowuje laboratorium w kantonie Tessin, które Mirza zwiedza wraz z Samem le Blondem. Laboratorium robi na Mirzy niezwykle wrażenie.

**JESZCZE JEDEN PRZYKŁAD:** w 1983 roku anonimowy agent DEA rozpracowuje siatkę meksykańską kierowaną przez Rafaela Caro Quintero i Ernesta Ponsekę Carillo. Nakryty, zostaje poddany torturom przez najemników „ojców chrzestnych”. Umiera, zachowując w tajemnicy nazwiska swych współpracowników. Zarówno protektorzy, jak i ich najemnicy zostaną w najbliższym czasie zatrzymani i potem skazani.

Peter Niese jest byłym oficerem marynarki i weteranem wojny w Wietnamie. Dla DEA pracuje od 18 lat. Jego wyjątkowym wyczynem, w okresie, kiedy pełnił funkcję szefa biura DEA w Fort Lauderdale, była likwidacja siatki kubańskiej, panamskiej i kolumbijskiej, działającej w południowej części Florydy. Matka Niesego jest Irlandką, ojciec — były strażak miasta Nowy Jork — Niemcem. Niese jest wysokim blondynem: ironiczny i inteligentny, w kontaktach z ludźmi bardzo otwarty. Z osłupieniem odkrywa szwajcarską dżunglę. W placówkach zagranicznych DEA jedynie szef oddziału jest osobą publiczną, z racji swego stanowiska. Musi bowiem utrzymywać oficjalne kontakty z władzami lokalnymi. Tożsamość jego współpracowników pozostaje w tajemnicy. Niese posiada status radcy ambasady amerykańskiej w Bernie. Budzonym często nocą przez współpracowników DEA w Bogocie, Istanbule czy Bejrucie, wskazuje do swego zielonego, niezwykle szybkiego „bmw”. po to, aby udać się do Genewy lub Zurychu. Na lotniskach tych miast organizuje wraz z lokalną policją zasadzki, mające na celu „przywitanie” zaanonsowanych wcześniej konwojentów, handlarzy czy finansistów. Pytam: „I co, udaje się?” Dyplomatyczna odpowiedź: Sometimes... (czasami).

**CZYTELNIK BEZ TRUDU ODGADNIE PRZYCZYNY NIEWIELKICH SUKCESÓW W DZIELE PRZECHWYTANIA NA TERYTORIUM SZWAJCARSKIM WYSLANNIKÓW „OJCÓW CHRZESTNYCH”.** W zasadzie wszystko, co dotyczy organizacji walki z handlem narkotykami na terenie Szwajcarii, zakazuje Niesego. A zwłaszcza znany już fakt posiadania przez największe banki kas wymiany waluty w sali odlotów i w sali tranzytowej dwóch największych lotnisk Szwajcarii: Kloten w Zurychu i Cointrin w Genewie. Po-

zwala to na swobodne przeprowadzanie transakcji bankowych każdemu agentowi śmierci bez jakiegokolwiek kontroli ze strony policji czy też urzędu celnego. Najgorszy jest fakt, iż nie sposób udowodnić agentom śmierci, komiwojażerom, „ojcom chrzestnym”, finansistom ich „pobytu” na ziemi szwajcarskiej; zwłaszcza tym, którzy uwikłani są w procesy sądowe poza granicami Helwecji.

W tym momencie jestem zobowiązany złożyć jak najserdeczniejsze podziękowania za przenikliwe analizy i szczerą Niesego w rozmowach, które z nim przeprowadziłem.

**W SIERPNIU 1986 ROKU DO BIUR POLICJI W ZURYCHU ZOSTAJE PRZEKAZANY SZCZEGÓŁOWY RAPORT PROKURATURY WŁOSKIEJ,** nakreślający precyzyjnie struktury i działalność organizacji tureckich, których terenem działania jest wschodnia część Szwajcarii. Wielkimi literami wyszczególniono w nim nazwisko Mohammeda Shakarchiego i nazwisko wiceprezesa spółki Shakarchi Trading SA, Hansa W. Koppa. Jak zachowuje się wobec tego raportu gorliwy policjant, któremu powierzono sprawę? Otóż, pełen zrozumiałego respektu w stosunku do męża pani minister sprawiedliwości, wymaże gumką nazwisko Koppa i przekaże dokument odpowiednim władzom lokalnym. A potem nastąpi cisza...

Jeszcze inna ciekawa sprawa. Do Zurychu zostaje przesłana prośba o współpracę i udzielenie informacji, wyśtosowana przez upoważnione władze włoskie, w której odnajdujemy nazwisko wspomnianego już „ojca chrzestnego” Parlaka. Policja z Zurychu przedzie samą siebie. Odrzuci oczywiście podanie. Nie chce jednak całkowicie zrazić sobie policję włoskiej, kreśli na aktach sprawy Parlaka formułę: „Kontrola niepotrzebna”.

Sam fakt skierowania prośby o współpracę w sprawach karnych, dotyczących tureckich (czy też libańskich) „ojców chrzestnych”, na ręce kompetentnych władz szwajcarskich może czasami okazać się szkodliwy. W 1983 roku sędzia śledczy z Palermo, Rocco Chinici, prosi policję z Zurychu o pomoc w aferze dotyczącej przekazywania heroiny dla mafii syryjskiej. Wysszczególnione przez stronę włoską fakty policja z Zurychu uzna za „mgliste i niejasne” i w związku z tym odpowiedź będzie odmowna. Nie dla wszystkich jednak fakty wskazane przez Rocco Chiniciego wydają się „mgliste i niejasne”. W sześć miesięcy od momentu wysłania prośby do Zurychu nieroztropny włoski sędzia zostaje zamordowany. Jego zwłoki spoczywają na cmentarzu w Palermo. Największy dziennik Szwajcarii „Tagesanzeiger” powściągliwie określi ten fakt jako „uchylenie policji z Zurychu”.

**ZURYCH JEST POŁOŻONY NAD JEZIEM, do którego spływają przezroczyste lodowate wody z gór alpejskich.** To jedno z najpiękniejszych i najstarszych miast naszego kontynentu. W samym sercu miasta rozciąga się plac otoczony klombami i platanami. Budzące lek miejsce o oficjalnej nazwie: Platzspitz.

Platzspitz jest eksterytorialnym przedpiekiem śmierci, w którym nie pojawia się nigdy żaden policjant. Pośród klombami, pod drzewami spotyka się tutaj setki młodych ludzi, a nawet dzieci, którzy kupują heroinę, LSD i inne narkotyki. Wstrzykują sobie codzienną dawkę śmiertelności produktu, cierpią, mającąc, są w stanie agonii. Wśród tych zniszczonych istot ludzkich krąży pielęgniarzki z organizacji charytatywnych, działaczki opieki społecznej, pastorki. Jak oszalałe wjeżdżają do parku karetki pogotowia, po to, by wywieźć z niego konnałego niedorostka. Ziemia usiana jest zużyтыми strzykawkami. Raz na dzień pomarańczowe ciężarówki miejscowego MPO wioząją śmieci i nieczystości z Platzspitz.

Ten smutny plac, usytuowany w pobliżu wystawnych fasadach, gdzie przeprowadza się „pranie” brudnego szmalu pochodzącego z nielegalnego międzynarodowego handlu narkotykami, każdego dnia oferuje przechodniom i gapiom przerażający spektakl upadku zdeorientowanej, znajdującej się w rozpaczliwym stanie, samounicestwiającej się młodzieży.

**DWA DZIENNIKI FRANCUSKIE: „LE NOUVEL OBSERVATEUR” I „LIBERATION”, POŚWIĘCAJĄ TEJ TRAGEDII SWOJE REPORTAŻE.** W dniu 6 maja 1989 roku przy program telewizyjny francuskiej przedstawia reportaż z Platzspitzu. 17 czerwca 1989 roku TEL (program I telewizji francuskiej — przyp. tł.) prezentuje bulwersujący reportaż, poświęcony „La Suisse Connection”. Emirowie rezydujący w sąsiedztwie Platzspitzu, nie uczynią żadnego kroku na drodze prawnej, ani wobec redakcji czasopism, ani wobec telewizji.

**POWRÓĆMY JEDNAK DO NIEUCHRONNEGO UPADKU RODZINY KOPP.** Od marca do września 1989 roku nadzwyczajny sędzia śledczy powołany przez rząd zajmuje się sprawą Elisabeth Kopp. Sędzia ten nazywa się Walter Koefler. W kręgach dziennikarskich Koefler nosi piękne imię „Monsieur Non-Lieu” (pseudonim ten wyjaśnimy nieco później). Można powiedzieć, że jest to największy konstatator w tej branży w całej Konfederacji Szwajcarskiej. Został wyznaczony przez rząd mimo wyraźnej opozycji parlamentu i przedstawicieli administracji państwowej.

Dzień 21 września 1989 roku dla pełnego werwy, serdecznego wiceszefa sekretariatu generalnego Achille'a Casanovy jest dniem mekki. Szwajcarscy dziennikarze i zagraniczni korespondenci oblegają eleganckie biuro Kancelarii Federalnej. W przeddzień Koefler przekazał swój raport, sporządzony pod bacnym okiem tymczasowego prokuratora Konfederacji. W raporcie miał znaleźć się akt oskarżenia. Niestety, żadne oskarżenie nie padło pod adresem pani eksminister. Nadużywanie władzy? Nie podobnego! Wykroczenie polegające na ograniczaniu działalności wymiaru sprawiedliwości? Niedorzeczność! Elisabeth Kopp zarzucono jedynie pogwałcenie tajemnicy służbowej.

**FLASH-BACK:** czy pamiętają jeszcze Państwo dzień 27 października 1988 roku? Minister sprawiedliwości Konfederacji Szwajcarskiej otrzymuje informację o tym, że jeden z nieostrożnych prokuratorów z kantonu Tessin zatrzymał dwóch konwojentów z siatki turecko-libańskiej i że przygotowuje się do zdemaskowania dyrekcji spółki Shakarchi Trading SA, działającej w Zurychu, którą uważa za jedną z głównych „pralni” owej bandy. Pani minister dzwoni ze swego biura do męża, pełniącego funkcję wiceprezydenta spółki Shakarchi Trading SA i powiadamia go o zaistniałym fakcie. W tym samym dniu Hans W. Kopp podaje się do dysmisji. Informacja przekazana telefonicznie — według opinii prowadzących śledztwo — mogła pozwolić dyrekcji spółki na zatarcie wszelkich śladów i przygotowanie się do wizyty organów ścigania oraz ewentualnego dochodze-

nia. Faktem jest, że do chwili obecnej żadne z dochodzeń przeciwko Mohammedowi Shakarchiemu i jego wspólnikom, przeprowadzonych przez sędziego Dicka Marty'ego, jak i przez inne instancje sądowe nie zakończyło się skazaniem obwinionych. Do dzisiejszego dnia klan Shakarchi jest w pełnej ekspansji komercyjnej i prosperuje lepiej niż kiedykolwiek.

**PONIEDZIAŁEK, 19 LUTEGO 1990 R.,** godzina dziesiąta rano: ciepłe promienie wczesnego wiosennego słońca zalewają park Mon Repos w Lozannie. Ośmieszona szczyty Alp Sabaudzkich z drugiej strony Jeziora Lemaniańskiego iskrzą się tysiącami miniaturowych ogników. W pompatycznym pałacu Trybunału Federalnego w Lozannie, o neoklasykistycznych kolumnach, rozpoczyna się proces przeciwko Elisabeth Kopp, Katarinie Schoop i Renate Schwob.

Będzie to proces „błędów i wypaczeń” — jak nazwał komentarzy sądowi, Markus Felber z „Basler Zeitung” pisze: „Najpierw był akt oskarżenia, zredagowany przez federalnego prokuratora nadzwyczajnego, Josepha Daniela Pillera. Akt ten w części poświęconej Elisabeth Kopp okazał się dziwnie ubogi i zaskakująco łagodny. Potem był prezydent, który w sposób widoczny przekroczył wiek emerytalny (id est: Albert Allemann, członek partii radykalnej, prezydent Izby Karnej Trybunału Federalnego). Człowiek ten absolutnie nie potrafił sprostać nałożonym na niego obowiązkom”.

Samuel Burckardt, który wciąż pełni obowiązki sekretarza generalnego Federalnego Ministerstwa Sprawiedliwości i Rudolf Wyss, szef centralnego biura policji (ten sam, który odmówił zgody na rozpoczęcie śledztwa przez Kaeslina), wystąpili jedynie w roli świadków.

**PIĄTEK, 23 LUTEGO, GODZINA PIĘTNASTA:** przed przedstawicielami prasy międzynarodowej i szwajcarskiej, przed osłupiałą publicznością Albert Allemann odczytuje drżącym głosem sentencję wyroku: zarówno Elisabeth Kopp, jak i jej współnicznicy zostają uniewinnione.

Joseph-Daniel Piller natychmiast podaje do wiadomości, że od wyroku nie można się odwołać.

Triumfująca, z naręczami kwiatów, Elisabeth Kopp schodzi po monumentalnych schodach i wsiada do swego mercedesa.

Największa grupa prasowa kraju, Ringier („Illustree”, „I’Hebdo”, „Blick”, etc.), przeprowadza ankietę, w której figurują trzy pytania: „Czy uważacie, że wyrok w stosunku do Elisabeth Kopp był: łagodny, nie za bardzo łagodny, zbyt łagodny, a nawet wręcz skandaliczny?” 70 proc. ankietowanych odpowiada: „zbyt łagodny, a nawet wręcz skandaliczny”.

Helmut Hubacher, prezydent szwajcarskiej partii socjalistycznej, poprzez swą wypowiedź wyraża oburzenie większości społeczeństwa: „Wyrok ten jest policzkiem wymierzonym tym obywatelom, którzy podporządkowują się przepisom prawnym i płacą za wykroczenia w zakresie przepisów ruchu drogowego (...) Może jeszcze nie w tej chwili, ale z pewnością kiedyś wszystko w tym kraju stanie się możliwe.”

Michała Rożka — przewodnik po mistycznym Krakowie

## Niezwykłe przepowiednie Nimfy Suchońskiej

Pomiędzy Teatrem Juliusza Słowackiego a dawnym szpitalem św. Rocha (obecnie Muzeum Teatralne — oddziału Muzeum Historycznego m. Krakowa) znajduje się skwer, pokryty w lecie kwiatami. Pośrodku dostrzegamy kompozycję rzeźbiarską Romana Tarkowskiego „Komedianci”. Gdzieś w tym właśnie miejscu kryje doczesne szczątki siostry Nimfy Suchońskiej, zakonniczki ze zgromadzenia ss. kanoniczek św. Ducha de Saxia. Ta niezwykła mniszka przysłała na świat w Warszawie w roku 1688. Już w młodości dokonała ofiary ze swego życia za ojczyznę i zakon. Była mistyczką. Bez reszty poświęciła się Chrystusowi. W krakowskim klasztorze miała widzenie: Zbawiciel wypowiedział do niej prorocze słowa o przyszłości Polski:

„Ojczyzna twoja w dwudziestym wieku dopiero powstanie do bytu częściowo, a zaś w całości i wielkiej ozdobie w czas jakiś potem, jeżeli przykazań moich strzec będzie pilnie, zostając w posłuszeństwie namiestnikowi memu: jeżeli rozstawić będzie wśród niewiernych moje imię, to i ja ojczyznę twoją błogosławić i rozszerzać będę”.

Nimfa Suchońska, otoczona już za życia aurą świętości, zmarła w Krakowie w roku 1709. Po kasacji zakonu duchaków siostry — na początku XIX wieku — przejęły kościół św. Tomasza przy ulicy Szpitalnej; uprzednio należał do karmelitów trzewickich. Zabrały ze sobą ów łaskami słynący krucyfik, który przemówił do Nimfy. Obecnie w tym niewielkim i zapomnianym przez krakowian kościele obejrzyć można obok cudownego Ukrzyżowanego portret Nimfy Suchońskiej wieszczącej przyszłość, mistyczki przez zakonnicę uznanej za błogosławioną.

# Powrót z Europy

Marta Wyka

Na ogół usiłujemy wszyscy łączyć się z Europą. Jest to program państwowy, zatem polityczny, a także społecznie obowiązujący. Spróbowałby ktoś powiedzieć, że to łączyć się sprawia mu ból i powoduje psychiczną niewygodę, że nie wie, które jego części są zupełnie europejskie, a które jeszcze wstydliwie postkomunistyczne i co z tego wszystkiego wynika. W każdym razie ciśnienie, które nas wypycha na Zachód wciąż wzrasta i czasem chciałoby się zapytać, jakim to sposobem wracamy na dawne miejsca, jaką tożsamością dysponujemy, jakie europejskie walory przenieśliśmy przez granicę i co w dalszym ciągu z nimi czynić zamierzamy. Można by również skromnie zapytać: co daje światu krakowski Europejczyk? Czy Europa wdycha za pewnymi siebie młodymi biznesmenami w skórzanych kurtkach, właścicielami butików, restauracji, kamienic, placów oraz innych nieruchomości? Oni tak jakby dzisiaj powstałi, nie ma za nimi, ich stanowcze głosy o podkrakowskim akcencie chwałą dzień dzisiejszy, rosnące konta i sprawne maszyny do liczenia pieniędzy.

Kiedy jestem w Europie najbardziej fascynuje mnie cięgłość jej mieszczańskiej sztuki i kultury. Trwałość budowli, których nie zniszczyli Szwedzi, Tatarzy i Niemcy, budowli wielowarstwowych. I dotyczy to w równym stopniu kościołów jak świadomości. Gotycka katedra w Gandawie stoi na romańskim kościele, zachowanym pod jej powierzchnią równie wspaniale jak ona sama. Gotyk pyśni się w dziennym świetle, ale nie wznosi się on na płaskim fundamencie. Jego romańska przeszłość pozwala się oglądać równie komfortowo jak gotycka teraźniejszość. Renesansowe kamieniczki nie są rewaloryzowane, lecz bardzo intensywnie istnieją. Dbą o nie wciąż ta sama ręka rodzinna, nawykła już do tej troski i powtarzająca rytualny gest w sposób naturalny.

Mieszczaństwo układa się wygodnie w swojej historii, z której na dobrą sprawę nikt go nigdy nie wyrzucił.

Albo czy przeszłości można się nauczyć, przyswoić ją jak lekcję zadaną w szkole? Rozmyślam o tym obserwując naszych współczesnych biznesmenów, którzy, między innymi, mają założone podwaliny mieszczańskich dynastii. Są ledwo okrzęsani, naśladowają tylko kulturalne gesty. Ani im w głowie być mecenasami kultury, pieniądze są przeznaczone do wytwarzania następnych pieniędzy, a za pieniądze można sobie obejrzeć, jakie są w Europie sklepy, magazyny oraz składy towarów. Każdy z nich to self-made man, wzór amerykański, ten wczesny, blyszczący im niby gwiazda przewodnia. Oddech sztuki unosi się obok nich, nigdy nie znajdują się w jego nurcie. Powiększają swój sklep i może dopiero ich dzieci albo wnuki poczują, że istnieje poza wymiarem praktycznym niepokój książki, dreszcz obrazu, fikcja teatru.

Cóż ja tutaj opowiadam? Historię małego Jano Budenbrooka Tomasza Manna? Spadkobiercy mieszczańskiego rodu, którego uwiodła sztuka? Tak, być może tę właśnie a nie inną fabułę wyzwolił we mnie mój ostatni powrót z Europy. Powrót do kraju pionierów, których obserwuję z zaciekawieniem, zniecierpliwieniem i z żalem. Bo myślę sobie, że ja już pewnie nie zobaczę wspaniałych mieszczańskich owoców tej dzisiejszej krzątaniny, jej przyszłych kościołów, muzeów i rodzinnych budowli, wzniesionych nie tylko dla siebie, ale również dla innych ludzi, aby zobaczyli pieniądze przemienione w styl, ogród, salon, kaplicę, założone z myślą o przetrwaniu.

## Camera obscura

Dziwne rzeczy wypisuje Wojciech Jerzy Podgórski w „Nowych Książkach” (nr 2). Ilustrując stosunek Stanisława Pigonia do Mickiewicza wymienia tytuły: „Zawsze o Nim”, „Za co kochać mamy «Księgi pielgrzymstwa»”, „Za co kochać mamy «Pana Tadeusza?»”. Co do „Zawsze o Nim” — zgoda, ale „Za co powinniśmy kochać «Pana Tadeusza?»” to tytuł broszury Ignacego Chrzanowskiego, a praca „Za co kochać mamy «Księgi pielgrzymstwa»” — o ile nam wiadomo — w ogóle nie istnieje, a w każdym razie nie wyszła spod pióra Pigonia. (hm)

W tejże recenzji W. J. Podgórski twierdzi, że dopiero lata pięćdziesiąte pchnęły Konrada Górskiego w stronę badań nad Renesansem, a ściślej należałoby powiedzieć — nad myślą religijną XVI w. Autor zdaje się nie wiedzieć, że podstawowa monografia z tej dziedziny — „Grzegorz Paweł z Brzezina” została wydana już w roku 1929. (hm)

W spektaklu telewizyjnym „Niezlomny z Nazaretu” (25. III) aktorzy początkowo, nie wiadomo dlaczego, nazywali żonę Heroda — Herodiana; dopiero później usłyszeliśmy — poprawną — Herodiadę. Z przykrością też przeczytaliśmy na jednej z plansz „Hora octavia” — zamiast „hora octava”. (hm)

Jan Nowicki i Anna Dymna w „Do Damaszk” (Teatr Kameralny) dokonali wielkiej a ostatnio rzadkiej w teatrach krakowskich rzeczy: można ich dobrze słyszeć siedząc nawet w dalszych rzędach. Czego niestety nie można powiedzieć o artystach grających w tymże przedstawieniu Zebra — Spowiednika i Matkę. (hm)

Krystyna Zbijewska pisze w „Krakowie” (nr 1/91), że Zygmunt Nowakowski był jedynym w środowisku aktorskim człowiekiem z tytułem doktorskim. Można wymienić drugiego: był nim również przebywający na emigracji Leopold Pobóg-Kielanowski. (hm)

Ryszard Matuszewski opowiada w swoich wspomnieniach „Złote dzioby — zielone lata” („Alfa” 1990), jak wielkie wrażenie w latach dziecięcych zrobiły na nim „Pochodnie Nerona” Siemiradzkiego oglądane na stałej wystawie warszawskiej „Zachęty”. Ale „Pochodnie Nerona” od początku wiszą w Muzeum Narodowym w Krakowie. Sądząc z opisu (naga kobieta przywiązana do zakłutego byka) autor oglądał obraz „Dirce chrześcijańska”.

Belferskie to i nudne zajęcia wytykać błędy w wyrażeniach

niach łacińskich używanych w prasie i telewizji. Ale co robić, jeśli nie tylko lektorzy i prezenterzy, ale poważni publicyści pod tym względem skandalicznie grzeszą? Małgorzata Lukaszewicz w „Pegazie” (4.IV) mówiła bez zęzady „sacrificium intellecti”. A przecież rzeczownik „intellectus” należy do IV deklinacji i w dopełniaczu może mieć tylko końcówkę „us”.

Zakopiańczycy! Jak długo jeszcze straszyć będzie na budynku kolejki na Gubałówce tablica upamiętniająca poległych w walce „z reakcyjnymi bandami” w 1945 roku ubistów? Wystarczy chyba, jeśli miejscem ich pamięci pozostanie cmentarz, tym bardziej, że nie wiadomo, ile przedtem z ich rąk padło polskich patriotów, żołnierzy podziemia, którym odebrano honor nazywając ich „bandytami” i czy znane są ich nazwiska. (el)

Francuzi mawiają: „Plus ça change, plus ça la même chose”, co znaczy, że im bardziej coś się zmienia, tym bardziej pozostaje, jak było. Odniesie to można też do polskiej TV. Nastąpiła zmiana na najwyższym szczeblu, a nadal — na niższych — praktykowana jest „gruba kreska”, co wywołuje sporo zamieszania wśród redaktorów „Wiadomości”. Natomiast w zakresie jakości programów niewiele zmieniło się na lepsze, mimo drastycznego wzrostu opłaty abonamentowej, z którym naiwny widz wiązał pewne nadzieje... (el)

Andrzej Zaręba przedstawia:



Piotr Wierzbicki

## HYDE PARK czytelników

Prezentujemy dziś jeden z wierszy STANISŁAWA MORTONA z Niepołomic. W swym liście Autor zaprasza nas do „krajiny niespełnionych snów, do krajiny, w której Miłość jest świeża jak ledwo rozkwitły kwiat sasanki i tchnie młodością oraz nieprzemijającą urodą pierwszych, nieśmiałyłch pocałunków”. Widać, że zawiatała wiosna!

Przy okazji — prosimy o czytelnie przepisywane utwory!

★ ★ ★  
Pierwsze, wiosenne lizy  
usłyszałem,  
jak płaczem chmur  
uderzyły w szybę.  
Kwitły z cicha  
smutkiem obrzmiałe  
i nieukojeniem...

Złożyłem więc  
drżących dłoni kielich;  
pijąc deszczu goręcy  
i osamotnienie...

Nie chcę uroić ani kropelki.

By moje oczy smutne były  
i żalu pełne.

## Fraszki na marginesie

Jerzy Leszczyński

Bez bajek

Niejednego morały  
zdemoralizowały.

Droga życiowa satyryka

Satyryk uważać musi na zakrętach —  
moralizatorzy depczą mu...  
po pu entach

„Sługa dwóch panów”

Czasami sługa służy  
dwóm panom dlatego,  
że dwóch panów przypada  
na sługę jednego.

Złowieszcza nutka

„Kraj lat dziecińczył,  
on zawsze zostanie  
święty i czysty...”  
Ale nie krajanie.

Biedne księgi

Chciały zbłądzić pod strzechy, ale...  
strzechy znikły — więc błądzą dalej.

DEKADA LITERACKA — tygodnik kulturalny. Wydawca: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska”, Spółka z o.o. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Piekło, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Wacław Iwaniuk (Toronto, Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska. ISSN 0867-4094